

„Trzylatka” po raz drugi

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Pierwsza „trzylatka”, a więc pierwszy wieloletni plan społeczno-gospodarczy, którego zadania realizowano w latach 1947—1949 była w historii PRL wielkim przełomem. Za stwierdzeniem takim świadczy nie tylko zrealizowanie ogromu zadań gospodarczych, które wtedy podjęto, ale również i to, że w okresie Planu Trzyletniego dokonano się lub wzięły początek w Polsce wszystkie podstawowe przeobrażenia społeczno-ustrojowe.

Przypomnijmy tylko, że w okresie owego pierwszego planu wieloletniego przeprowadzono nacjonalizację przemysłu i wprowadzono socjalistyczne mechanizmy kierowania gospodarką, zakończono reformę rolną z jednoczesnym umorzeniem przedwojennego zadłużenia wsi. Uczyniło to wówczas z chłopów naturalnego sojusznika władzy ludowej.

W ramach strategii Planu Trzyletniego w poważnym stopniu rozwiązano dwa podstawowe problemy społeczno-gospodarcze Polski: po pierwsze — zapoczątkowano proces wyprowadzania kraju ze stanu zacofania gospodarczego, po drugie zaś — rozwiązano w zasadzie problem strukturalnego bezrobocia. Ponadto uczyniono w tym okresie niemało w zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich i Północnych. Wygrano ostatecznie rozpoczętą wiosną 1947 roku „bitwę o handel”, co przyniosło poważne ograniczenie spekulacji i nadmiernych zysków sektora prywatnego. Warto również przypomnieć, że Plan Trzyletni był jedynym planem wieloletnim, który do końca udało się zrealizować bez propagandowych sztuczek. Potem magiczna kombinacja liczb i procentów, propagandowa manipulacja nimi zastępowała prawdę. I tak brnęliśmy aż do 1980 roku. Propaganda niespełnionych sukcesów nie zrodziła się dopiero w latach siedemdziesiątych.

Nadę wszystko jednak, Plan Trzyletni był planem odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych. Straty były ogromne. Ze wspomnianych znow tylko — straty materialne na skutek działań wojennych w Polsce wyniosły 258 mld zł i były po ZSRR najwyższe w państwach koalicji antyhitlerowskiej. Całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu uległo około 60 procent zakładów przemysłowych.

Można by tak jeszcze długo. Nie w tym jednak rzecz. Jeśli dziś powracam do tamtych pierwszych, powojennych lat to głównie dlatego, aby spróbować samemu sobie odpowiedzieć na pytanie: jak to było wtedy możliwe? Czy zadania, które stały do spełnienia teraz przed moim pokoleniem są równie trudne, a może trudniejsze? Myślę, że niezależnie od wszystkich podobieństw, są po prostu inne, jakościowo różne.

UWARUNKOWANIA I MOTYWACJE

Jak to zapisano w projekcie narodowego planu społeczno-gospodarczego na lata 1983—1985 będzie on pierwszym etapem realizacji strategii gospodarczej w latach osiemdziesiątych, której celem jest wydobycie gospodarki z obecnego kryzysu i — co równie ważne — wyprowadzenie jej na drogi rozwoju oraz takich zmian, które wyklucząby możliwość powrotu do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku. Zadanie to jest prawie tak samo trudne i ambitne jak tamte w pierwszej „trzylatce”. Kryzys bowiem w swoich skutkach zadał naszej gospodarce ciosy nie mniej dotkliwe niż wojna. Choć gospodarka daleka jest od ruiny, to straty zadane jej przez skutki błędów minionych lat, są poważne i trudne jeszcze dziś w całości do oszacowania.

Jak jak wówczas, w latach czterdziestych, tak i teraz i w przyszłości wśród wewnętrznych czynników decydujących o powodzeniu planu najważniejszymi będą: sytuacja społeczno-polityczna i postawa społeczeństwa. Przy czym w koncepcji planu przyjęto, że „nastroje społeczne i sytuacja społeczno-polityczna sprzyjające będą normalizacji procesów gospodarczych”. Jest to założenie optymistyczne chociaż wcale nie wariantowe. Bowiem przy wariantach przeciwnym wszelkie planowanie nie miałyby większego sensu.

Autorzy projektu oczekują pozytywnych reakcji motywacyjnych na „trzylatkę” przede wszystkim od grupy ludności o najwyższych dochodach, bowiem w zasadzie tylko tej grupie obiecuje się pewne preferencje socjalne, opiekę państwa. Reszta ludności będzie musiała ponosić cały ciężar kryzysu, reformy i zadań Planu Trzyletniego zgodnie z założeniami dokonania głębokich zmian w polityce socjalnej państwa i w określaniu celów społecznych. W praktyce oznaczać to ma poważne, wręcz rygorystyczne ograniczenie funkcji opiekuńczej państwa. Zmianie się także mają w poważnym stopniu sposoby jej realizacji (zarządzenie polityki utrzymywania niskich cen na artykuły podstawowe na rzecz świadczeń społecznych i to realizowanych w ograniczonym zakresie). Oznaczać to będzie odejście na przód co najmniej 5—8 a może 10 lat od formuły państwa socjalnego, jakim ze swojej natury było dotąd państwo budujące socjalizm.

Ten poważny zabieg na polityce społecznej państwa będzie musiał odbić się ujemnie na sferze motywacji. W końcu przyzwyczajaliśmy przez te trzydzieści kilka lat ludzi do tego, że „państwo daje”. Każda ekipa kierownicza dotąd chętnie się wręcz tym, ile to dała od siebie narodowi. Tak jakby nam to wszystko spadało z nieba. Inna rzecz, że był czas i to wcale nie tak odległy, kiedy rzeczywiste kredyty, które przeznaczano na konsumpcję traktowano tak, jakby były darami międzynarodowej pomocy charytatywnej kapitału zachodniego dla Polski. Jakby jednak na to nie spojrzeć i nie oceniać, to jednak oświata, kultura, nauka wypoczynek i coś tam jeszcze dotąd każdemu się należało. Na te sprawy nikt do czasu kryzysu wielkich wydatków z pensji nie odliczał. A teraz nagle i to dość poważnie się zmieni. Teraz państwo co najwyżej — jak to ujęli autorzy planu — będzie mogło „tworzyć warunki” w tym zakresie lub „umożliwiać” otwierając szanse, których wykorzystanie zależeć będzie od indywidualnej inicjatywy i aktywności (potocznie: obrótności). A i te tworzone przez państwo warunki dalekie będą, przynajmniej na początku od warunków społecznych.

W tej sytuacji zadaniem niezwykle trudnym będzie z jednej strony zapewnienie tzw. równego startu, realnie rów-

3

- Producent nasz pan
- Nie będę jak kolek w ziemi!
- W demografii: od obaw do nadziei

- Każdy tłum jest groźny
- Proza Leona Gomolickiego
- W kręgu fantastyki
- Felietony ● Recenzje

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 27 (1280) ROK XXV 8 PAŹDZIERNIKA 1982 ROKU CENA 20 ZI



Foto: M. Zajdler

Nie mamy się czego wstydzić

Rozmowa z przewodniczącym Rady Oddziału Łódzkiego Naczelnej Organizacji Technicznej — dr inż. KSAWERYM KRASSOWSKIM

● W Polsce jest 1,5 miliona inżynierów i techników, a z tego tylko jedna trzecia należy do stowarzyszeń technicznych. W Łodzi wygląda to gorzej. W całym województwie jest 119081 inżynierów i techników. Do stowarzyszeń technicznych należy tylko 25 procent. Dlaczego tak mało?

— Złożyło się na to kilka przyczyn. Przede wszystkim przynależność do stowarzyszeń jest dobrowolna.

● I zawsze tak było?

— Nie. Był taki czas, że administracyjnie przymuszano do przynależności do stowarzyszeń. Ale to nie dało. Jeśli ktoś nie chce należeć, nie ma ochoty na pracę społeczną, jeśli nie widzi w tym żadnej dla siebie korzyści, to go do tego nie ma co zmuszać. Zresztą liczymy się i z tym, że liczba członków naszych stowarzyszeń może zmniejszyć się. Nam zresztą nie zależy na tym, aby mieć dużo członków, którzy będą tylko płacili skła-

dki, ale na tym, aby wykazywali się swoją rzeczywistą działalnością.

● A więc większość inżynierów i techników nie należy do stowarzyszeń, bo nie chce, bo przynależność jest dobrowolna i to jest pierwszy tego stanu rzeczy powód. A dalsze?

— NOT jest federacją stowarzyszeń, których jest 20. Podstawą działalności stowarzyszeń są kółka zakładowe. Ale w fabrykach pracują inżynierowie i technicy różnych specjalności, a kółko tworzą najczęściej inżynierowie i technicy, którzy licznie przeważają. Na przykład w fabryce przemysłu lekkiego będzie to kółko Stowarzyszenia Włókienników Polskich i praca tego kółka nie interesuje inżynierów elektryków czy mechaników.

Wielu inżynierów pracuje również w szkołach zawodowych. W szkołach nie ma kół, więc najczęściej

4

Ojciec Maksymilian Kolbe, franciszkanin, twórca Niepokalanowa i jego japońskiego odpowiednika „Mugenaj no sono” nie musiał zginąć za drutami Oświęcimia. W cieniu krematoryjnych dymów unoszących się nad tym miejscem zbrodni i upodlenia człowieka — wybrał śmierć. Świadomie, bez rozgłosu, w imię miłości bliźniego. Swoją ofiarą uratował od głodowej śmierci innego człowieka.

Mocarze, którzy rozpętali wojnę i skazali na zagładę miliony ludzi, poszli w niepamięć, pamięć o więźniu z numerem 16670 na obozowym pasiakku przetrwała. Wojnę światową — jak stwierdził kardynał Wyszyński w Bazylice Dwunastu Apostołów w Rzymie podczas uroczystości beatyfikacyjnych w 1971 r. — wygrał więc Maksymilian Kolbe.

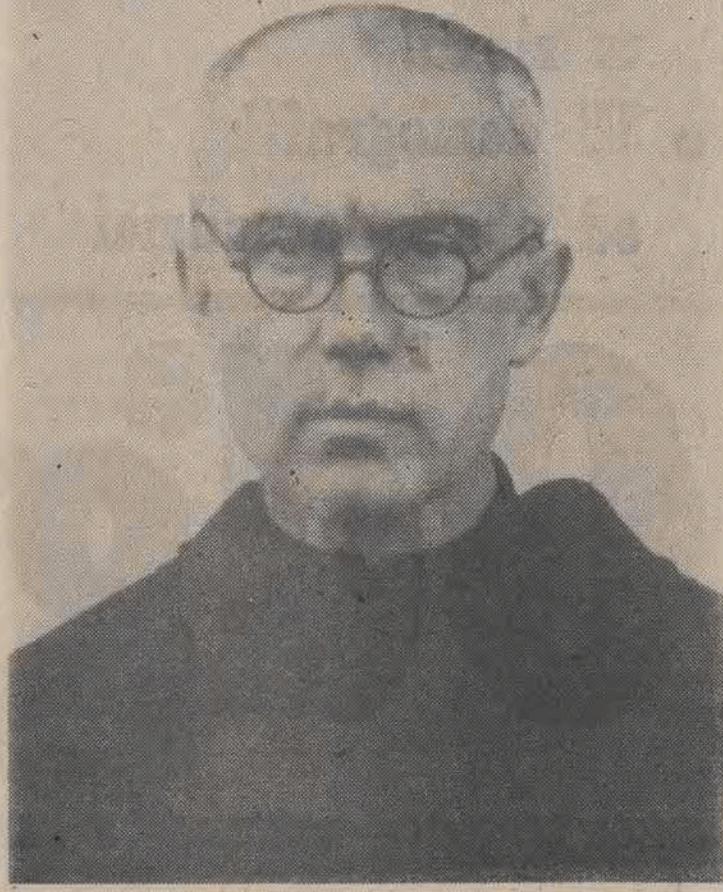
10 października br. odbędzie się kanonizacja Maksymiliana Kolbego. Na uroczystościach w Rzymie nie zabraknie pielgrzymów z rodzinnego miasta wielkiego franciszkanina — Zduńskiej Woli, a także z Niepokalanowa.

R. POR.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ OJCIEC KOLBE

Ojciec Kolbe miał długą brodę. Ojciec Kolbe bywał w Japonii. Później, w pasiakku, przymierał głodem. Jak wielu. Nie przeżył wojny.

Umart.
Właściwie to nawet nie On, Rycerzyk Niepokalanę, don Kichot: W cudzy los wtargnął, w cudzy zgon — Zginął z pieśnią, pokornie, cicho. Iluż zginęło!
Tej śmierci nie da się jednak uprościć. Wybrał. Z wiary. Z Ewangelii. Z mocy. Poświadczył istnienie nieśmiertelności I w wieczność — skoczył...
1944



Pzegląd prasy

„BEGINOWI WŁOSY STANĄ DEBA NA GŁOWIE”

Zapowiedział w wywiadzie dla „Der Spiegel” zastępca przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Organizacji Wyzwolenia Palestyny — Abu Ijad. Obszerne fragmenty tego wywiadu publikuje „POLITYKA” (nr 33 z 2 października 1982 roku). W wywiadzie mowa jest o przyczynach błędów popełnionych przez Palestyńczyków w Libanie o ich stanie zorganizowania i zamierzeniach.

„Czy będziecie tworzyć rząd palestyński na emigracji?” — pyta zachodniemiecki dziennikarz.

„Nie — odpowiada Abu Ijad — ponieważ już ponad 120 państw uznało OWP i nie potrzebujemy dalszego uznawania. Egipcjanie należą do nas abyśmy utworzyli rząd emigracyjny. Aby jednak utworzyć rząd, musimy mieć terytorium i naród, a nie mamy ani jednego, ani drugiego. Nasze terytorium jest pod okupacją, nasz naród jest przesładowany. Być może w późniejszej fazie i w innej sytuacji koncepcja rządu emigracyjnego nie byłaby do odrzucenia, ale na razie tak nie jest.”

Wielu zastanawiało się nad tym, czy teraz rozproszeni po różnych państwach bojownicy palestyńscy powrócą do terroryzmu jako metody walki z Izraelem. Padło więc i takie pytanie. A oto odpowiedź Abu Ijada:

„Nie. Europejczycy nie potrzebują się bać. Nie będziemy ich karać za postawę ich polityków i dziennikarzy. Postanowiliśmy wzmocnić walkę zbrojną na obszarach okupowanych. Przyszłość pokaże, co przez to rozumie.”

I teraz pytanie o owe włosy, co mają stać deba na głowie Beginia:

„Powiedział pan, że Beginowi włosy staną deba na głowie. Co pan przez to rozumie?” — zwrócił się do Abu Ijada zachodniemiecki dziennikarz.

„To była moja odpowiedź na bezsensowne i nikczemne twierdzenie Beginia, że pokonał nas militarnie. Chępli się stałe. Mówi, że raz na zawsze zniszczył te palestyńskie hałastre. W rzeczywistości przeżyje jeszcze takie rzeczy, że włosy staną mu deba na głowie.”

Abu Ijad zapowiada więc bezkompromisową walkę i to bezpośrednio na terytorium izraelskim bądź okupowanym przez wojska Izraela. Libańska tragedia Palestyńczyków przechodzi już do historii, rzeczywistość kształtować będzie dalsza walka.

Obserwator różnych wydarzeń — często — a faktycznie prawie nigdy — nie zdaje sobie sprawy z tego, jak szybko współczesność staje się już tylko przeszłością, a więc historią. Mało zdaje sobie również sprawę z tego, że jako świadek czy uczestnik historii nie zawsze i do końca rozumie jej sens, że później już z badań i opracowań może ze zdziwieniem dowiedzieć się, że uczestniczył w czymś tak mało ważnym, choć mu się zdawało, że było inaczej lub wręcz odwrotnie, że to było tak ważne, choć wydawało się zdarzeniem ubocznym. Dlatego tak trudno jest formować syntetyczny obraz dziejów najnowszych, gdyż żyjący ich uczestnicy często widzą je inaczej i staje się to przyczyną powstawania mitów i legend. A tych pełna jest nasza historia najnowsza. Między innymi dlatego, że jej obraz był też kształtowany

W ZALEŻNOŚCI OD KONIUNKTURALNYCH POTRZEB POLITYCZ- NYCH

Problemem znajomości historii przez młode pokolenie Polaków zajmuje się w „TYGODNIKU KULTURALNYM” (nr 28 z 3 października 1982 r.) Stanisław Pajka w artykule zatytułowanym „Historię znać i pojmować”. Tytuł jest tu bardzo istotny. Autor zastrzega się, że można znać dużo faktów historycznych i nie z przeszłości nie rozumieć. Chodzi mu zatem o takie nauczanie historii, które dawałoby wiedzę o minioniej przeszłości nie tylko formalną (fakty), ale i uczyniłoby rozumienia procesu historycznego. Recepty nie daje, ale mówi też, że wpływ polityki na historię nie może być tak silny, aby trwał deformował jej obraz.

Stanisław Pajka cytuje wyniki przeprowadzonej przez siebie ankiety wśród 916 uczniów różnych typów szkół w jednym z województw Polski centralnej. Cytuje pytania i procentową wielkość prawidłowych odpowiedzi. Pytania są tak proste, tak wiele się o sprawach w nich zawartych mówiło i pisało, że wielkość prawidłowych odpowiedzi są przerażające. Oto przykłady:

„Jednym z pierwszych premierów państwa polskiego, po 123 latach zaborów, był sławny kompozytor. Kto to był?” Na to pytanie padło 27,9 proc. prawidłowych odpowiedzi.

„W latach 1918—1939 zbudowano w Polsce nowy port. Wymień jego nazwę.” Wymieniło ją prawidłowo 46,5 proc. zapytanych.

„W latach drugiej wojny światowej był premierem rządu emigracyjnego i wodzem naczelnym powstałej tam armii. Kto to był?” Wiedzieli o tym 45,9 proc. zapytanych.

„W którym z miast polskich ogłoszono Manifest PKWN?” Nazwę tego miasta — wymienianego od trzydziestu kilku lat przy okazji kolejnych rocz-

nic 22 Lipca — znało 31 proc. ankietowanych.

„Podaj nazwę miasta zbudowanego całkowicie w Polsce, w którym obecnie jest wielki kombinat hutniczy”. Prawidłowo odpowiedziało 40 proc. uczniów.

A przecież o Ignacym Padewskim, Gdyni, Nowej Hucie, o Władysławie Sikorskim wreszcie można dowiadywać się nie tylko na lekcji historii. Mówi się o tym w radio, pokazuje się w telewizji, pisze się w tygodnikach. Bez wątpienia prawdziwy jest zarzut, że różne tematy chodzą po tygodnikach stadami i to przeważnie z okazji różnych rocznic, że potrzebna jest przemyślana, wiarygodna edukacja historyczna Polaków i to zarówno młodych, jak i starych i że tego nie osiągnie się publicystyką rocznicową. O historii polskiego ruchu robotniczego pełną prawdę trzeba mówić nie tylko z okazji jego setnej rocznicy, ale przez cały czas bez żadnej okazji.

Skoro już o historii się zmówiło, a jest to temat — popularyzacja historii — który mnie od dawna nurtuje. Nie tyle zresztą popularyzacja historii, ile jej brak. Skoro więc już o tym mowa, to chciałbym zwrócić uwagę na zapoczątkowany w „POLITYCE” druk fragmentów wydanej w Londynie książki Jana Hoppe pt. „Wspomnienia, przyczynki, refleksje”. Autor działał przed wojną w ruchu zawodowym, współredagował „Jutro Pracy” i został zaproszony do współpracy z OZN, Obóz Zjednoczenia Narodowego — zwany popularnie „Ozonem” — jest u nas dziś mało znany. Wspomnienia Jana Hoppe pokazują strukturę „Ozonu”, mechanizmy, jakie tą organizacją poruszały, a także ludzi, którzy z różnych pobudek podjęli się działania w „Ozonie” i co z tego wyszło. Warto te wspomnienia uważnie śledzić, jak wszystkie w ogóle wspomnie-

A oto „ARGUMENTY” (nr 30 z 30 października 1982 r.) przynoszą pełny tekst wspomnień gen. Zygmunta Berlinga. Wprawdzie „Kulisy — Express Wieczorny” coś takiego zapoczątkowały, ale okazuje się, że „Kulisy” zrobiły to bez zgody Marii Berlingowej, zapowiedziały wprawdzie druk całości, ale zaczęły od drugiej części pamiętnika i w tej sytuacji Maria Berlingowa — co wynika z listu do redakcji „Argumentów” opublikowanym w „ARGUMENTACH” — przekazała „całość wspomnień Generała Zygmunta Berlinga redakcji „Argumentów” wraz z upoważnieniem do ich publikacji”. Pierwszy odcinek opowiada o perypetiach pik Z. Berlinga w pierwszych dniach wojny.

HISTORIA JEST WAŻNA, ALE WSPÓŁCZESNOŚĆ RÓWNIŻ

Nr 7 (z września 1982 r.) miesięcznika „BARWY” przynosi sprawozdanie z kolejnego

posiedzenia ZG Stowarzyszenia Klubów Wiedzy Społeczno-Politycznej „Rzeczywistość”, które odbyło się 13 sierpnia 1982 roku, a na którym referat wygłosił przewodniczący ZG — Tadeusz Grabski. W dyskusji nad referatem między innymi głos zabrał przewodniczący Wojewódzkiej Rady Programowo-Konsultacyjnej w Łodzi — Marian Tupiak. Oto, co zanotował sprawozdawca:

„...scharakteryzował trudne warunki działania Stowarzyszenia i na swoim obszarze. Trudności nie wynikają z kłopotów związanych z docieraniem do środowiska łódzkiej klasy robotniczej. Przeciwnie. To właśnie dlatego, że od samego początku istnienia Stowarzyszenia znalazło ono właśnie w łódzkich fabrykach uznanie i oparcie, byli tacy, którzy przestraszyli się jego działalności. Tupiak przytaczając wiele przykładów wskazał, jak w toku ostrej walki politycznej o socjalistyczną świadomość społeczną aktywność SKWS-P w Łodzi przezwycięża wspomniane przeszkody, demaskuje siewców poglądów oportunistycznych i rewizjonistycznych, wspiera partię w jej boju z kontrrewolucją. Mówca podkreślił, że tego rodzaju postawa działaczy SKWS-P powoduje, że w coraz większym i bardziej widocznym stopniu właśnie na aktywność Stowarzyszenia opiera się miejscowe kierownictwo polityczne w okresach szczególnie nasilonej i otwartej konfrontacji z przeciwnikami socjalizmu.”

ZG Stowarzyszenia KWS-P postanowił wraz z zaproszonymi gośćmi przekształcić się w Komisję Zjazdową oraz zgłoszono akces do PRON.

W listach publikowanych przez „BARWY” sporo ataku na „Politykę” oraz „Rzeczywistość”. T. T. z Warszawy broni przed Gucią z „Polityki” reżysera Bohdana Porębę. „Wasz Stały Czytelnik” z Warszawy (dlaczego ludzie nie podpisują listów?) proponuje, aby „rolę „Rzeczywistości” z 1981 r.) większym niż do tej pory, stopniu przejęły „Barwy”, a także „Argumenty”. Ktoś zupełnie nie podpisany ma pretensje do Z. Kałużyńskiego za jego korespondencję z Karłowymi Varów. Tadeusz Zdręka bez pardonowo demaskuje Gucię w notatce pod tytułem „Gucia golusienka”, a Protazy wierszem sprawozdaje „z niedoszłej chwilowo rozprawy” między Danielem Passentem a Henrykiem Gaworskim. O poezji Władysława Strzeleckiego („Prawda dni naszych”) napisał Edward Mueller.

LUCJAN BOGUSZ

JUBILEUSZ ŁÓDZKIEGO WYDAWNICTWA PRASOWEGO

O jubileuszu 35-lecia działalności RSW „Prasa — Książka — Ruch” i Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego pisaliśmy w numerze poprzednim. Tym razem zamieszczamy, syntetyczne z konieczności sprawozdanie z uroczystości jubileuszowych, jakie odbyły się w miniony piątek w Klubie Dziennikarza.

Na spotkanie z dziennikarzami i pracownikami Wydawnictwa przybyli: członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz Komitetu Łódzkiego partii — Tadeusz Czechowicz, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Piotrkowie Trybunalskim — Stanisław Kolasa, przedstawiciel Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC partii — Marek Rosicki, sekretarz KW PZPR w Łodzi — Andrzej Hampel, w Sieradzu — Czesław Tomczyk i w Skierniewicach — Mieczysław Kmiał, prezydent miasta Łodzi — Józef Niewiadomski, wojewoda piotrkowski — Włodzimierz Stefański, wicewojewodowie Sieradza — Jacek Przybylski i Skierniewic — Stanisław Bartos. W uroczystości uczestniczyli także wiceprezes Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Leszek Bednarski.

O 35-letnim dorobku Wydawnictwa, osiągnięciach gazet i czasopism, o ludziach i ich osobistym wkładzie w rozwój prasy łódzkiej mówił dyrektor — Piotr Sagan.

Długoletnich i zasłużonych pracowników Wydawnictwa uhonorowano wysokimi odznaczeniami państwowymi, odznakami i dyplomami uznania.

Złote Krzyże Zasługi otrzymali: Eugenia Arndt, Jerzy Kałużka, Mirosława Kosmalka, Adam Lewaszkiwicz, Alicja Marcinkowska, Maria Misa, Danuta Nitecka, Halina Steplówna-Modro, Leokadia Wierczewska i Wiesław Wrzesiński.

Srebrne Krzyże Zasługi wręczono: Teresie Adamczyk, Stefanii Gajdamowicz, Ireneuszowi Górskiemu, Jadwidze Jagodzińskiej-Musiątek, Krystynie Pływie i Grażynie Rodzińskiej. Aktu dekoracji odznaczonych dokonał prezydent Miasta Łodzi — Józef Niewiadomski.

Uchwałą Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi Honorowe Odznaki m. Łodzi otrzymali: Krystyna Nurdyńska, Andrzej Gieldowski i Eleonora Gajdka. Takie samo wyróżnienie przyznano Kurtowi Winklerowi i Dietmarowi Griesheimerowi z Karl-Marx-Stadt.

Uchwałą Prezydium WRN w Piotrkowie Trybunalskim odznaka „Za Zasługi dla Województwa Piotrkowskiego” uhonorowano: Wojciecha Kanawę, Henryka Pawlaka, Ryszarda Poradowskiego i Sławomira Topolskiego. Aktu wręczenia odznaczeń dokonał wojewoda piotrkowski — Włodzimierz Stefański.

Odznaką „Za Zasługi dla Województwa Skierniewickiego” uhonorowano: Teresę Caban, Juliusza Cyperlinga, Henryka Walende. Odznaczenia wręczył wicewojewoda skierniewicki — Stanisław Bartos.

Wielu długoletnich i zasłużonych pracowników LWP otrzymało odznaki „Za Zasługi dla RSW”. Jerzy Calusiński, Zofia Ignaczak, Tadeusz Jezierny, Mirosława Kosmalka, Mirosława Rajewska, Barbara Różańska i Waldemar Uchman.

Wszystkim odznaczonym najserdeczniejsze życzenia w imieniu władz polityczno-administracyjnych woj. łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego złożył członek Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarz KŁ partii — Tadeusz Czechowicz.

Do życzeń i gratulacji przyłączył się także wiceprezes ZG RSW — L. Bednarski.

ODZNACZENIA DLA ŁÓDZKICH DZIENNIKARZY

Grupa łódzkich dziennikarzy uhonorowana została przyznaniem przez Radę Państwa wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymali: Irena Stankiewicz, i Adam Ochocki, Złoty Krzyż Zasługi — Aniela Kulpińska, Srebrny Krzyż Zasługi nasza koleżanka redakcyjna — Bogumiła Madej, Srebrny Krzyż Zasługi — Zofia Kraszewska. Gratulujemy!

JUBILEUSZ „EPOKI” I „KURIERA POLSKIEGO”

Pod hasłem „Prasa Stronnictwa Demokratycznego w służbie narodu i państwa” obchodzono 30 września 25-lecie działalności wydawnictwa SD „Epoka” i popularnego dziennika „Kurier Polski”. W spotkaniu pracowników wydawnictwa w Warszawie uczestniczyli: przewodniczący CK SD, wicepremier, prof. Edward Kowalczyk oraz zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR Jan Głowczyk, członek Prezydium, sekretarz NK ZSL, Waldemar Winkiel, redaktorzy naczelni, publicyści i dziennikarze radia i telewizji oraz przedstawiciele redakcji i wydawnictw z krajów socjalistycznych.

Najbardziej zasłużonych dziennikarzy i pracowników „Epoki” udekorowano odznaczeniami państwowymi.

ŁÓDZIANIN LAUREATEM

Łódzki literat, Jerzy Urbankiewicz, otrzymał i nagrodę na ogólnopolskim zamkniętym konkursie na powieść o ludziach i ich problemach, na jakie napotykają przy wnoszeniu i eksploatacji Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Nagrodzona powieść nosi tytuł „Czerwone goździki stępią wrażliwość”.

Organizatorem konkursu był Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, dyrektora Kopalni Lubelskiego Zagłębia i lubelski oddział ZLP. Konkurs ogłoszony został w 1979 roku. Przewodniczącym jury był Wojciech Zukrowski.

LATO CIĄGLE TRWA

Pomimo, że lato, i to nie tylko kalendarzowe, już się skończyło, nie brak jeszcze amatorów wypoczynku. Wychodząc na przeciw licznym postulatom głównie młodzieży, Społeczny Komitet Autostopu przedłużył tegoroczną akcję aż do 31 października. Akcję w br. prowadzi prawie 300 punktów na terenie całego kraju: oddziały PTTK, placówki informacji turystycznej, terenowe przedsiębiorstwa turystyczne, placówki „Almaturu”, PTSM, LZS oraz — w tym roku po raz pierwszy — Wojewódzkie Biura Ochołotniczych Hufców Pracy (wynik społecznej cennej współpracy z Komendą Główną OHP w ramach akcji „Wakacje na własny rachunek”).

Dla ilustracji popularności autostopu przytoczymy kilka danych, tym bardziej, że Społeczny Komitet Autostopu w br. obchodzi 25-lecie swojej działalności i warto zacząć podsumowanie. Otóż, do chwili obecnej z autostopu skorzystało przeszło 800 tysięcy osób w tym 12.091 cudzoziemców z 31 krajów. Przejechały one 208 milionów kilometrów, tj. 5200 razy dookoła świata po równiku. W roku jubileuszu życzymy wielu nowych autostopowiczów i dalszych tysięcy kilometrów.

Dokończenie ze strony 1

nych szans dla wszystkich, a z drugiej zaś — likwidacja już i tak narosłych, nabrzmiałych dysproporcji między poziomem bytowania poszczególnych grup społecznych. Rodziło to w przeszłości, rodzi i dziś w wielu nastrojach niezadowolonych, poczucie krzywdy i braku szans, niesprawiedliwości społecznej. Na tych nastrojach trudno będzie budować pozytywne motywacje do wyścigu wysiłku i wyrzeczeń na rzecz zadań „trzylatki”.

Już dziś i to wcale nie tak rzadko słyszy się głosy robotników, że nie mają oni zamiaru być tą grupą społeczną, na której głównie spoczywać będzie ciężar umiennych skutków kryzysu. Bo jak dotąd tak właśnie odbierają oni swoją rolę społeczną.

Dają także o sobie znać coraz głośniejszy antagonizmy narosłe między dwoma podstawowymi klasami naszego społeczeństwa: klasą robotniczą a chłopstwem. Trzeba powiedzieć jasno, że przy konsekwentnej realizacji priorytetu dla wsi do czasu dysproporcji między wzrostem dochodów ludności rolniczej a ludności miejskiej pogłębia się na niekorzyść tej drugiej. Do roku 1985 dochody rolników będą wyprzedzały wynagrodzenia w

szwach z militaryzowanych. Tymczasem sygnały dochodzące z dyskusji nad projektem „trzylatki” świadczą o tym, że większa część załóg robotniczych nie jest skora rezygnować z wolnych sobót. Przekonać robotników o takiej potrzebie nie będzie łatwo. Jeśli zaś wprowadzenie sześciopiętowego tygodnia pracy miałyby nastąpić drogą nakazu, decyzji administracyjnej, to spodziewać się należy, że rozwiązanie takie może stać się kolejnym źródłem niepokojów, a nawet konfliktów.

NA CO WIĘC MOŻNA LICZYĆ!

Tego rodzaju pytanie zrodzić się musi zarówno u każdego z obywateli, jak i u tzw. władzy. Obie strony chciałyby zapewne wiedzieć, kiedy się wreszcie polepszy. Inaczej mówiąc: jaka jest perspektywa i horyzont czasowy koniecznego, wzmoczonego wysiłku? Należy chyba przyjąć realnie, że automata projektu „trzylatki”, że owa perspektywa odczuwalnej przez obywateli poprawy sytuacji ekonomicznej i społecznej sięga roku 1985—1988.

Istnieje szansa zwiększenia produkcji przemysłowej w najbliższych trzech latach — w zależności od wariantu — o 12—17 procent. Umożliwiłyby to osiągnięcie w połowie lat osiemdziesiątych (w wariantcie II) najwyższego poziomu produkcji sprzed kryzysu. W tym samym okresie jest przewidziane uzyskanie produkcji rolnej w przybliżeniu na poziomie 1978 roku. W rezultacie

reformą jest trochę tak, jak z tzw. odnową — wszyscy są za, ale optują za tym, aby zacząć ją od sąsiada. Specjaliści od działań pozornych postanowili pokazać raz jeszcze na co ich stać.

Widmo wielkiego bezrobocia, którym straszono nas jeszcze nie tak dawno, nie zyskuje potwierdzenia w planie na lata 1983—1985. Choć, jak zastrzegają się autorzy projektu: „ze względu na skalę koniecznych przemieszczeń między zakładami i gałęziami nie można wykluczyć przejściowego stanu niepełnego zatrudnienia” (dotyczy to będzie w największym stopniu budownictwa, przedsiębiorstw wytwarzających dobra inwestycyjne, biur projektowych i administracji). Łączne zatrudnienie w gospodarce uspołecznionej w latach realizacji „trzylatki” spadnie w stosunku do roku bieżącego o około 150 tys. osób. Przewiduje się, że uzyska się to m.in. przez zmniejszenie aktywności zawodowej kobiet w związku z wprowadzeniem zasiłku na opiekę nad dzieckiem. Perspektywnie zaś nie planuje się do roku 1990 wzrostu zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej ponad poziom zatrudnienia w roku bieżącym. Furtka dla poszukujących pracy, którzy nie znajdują jej w zakładach państwowych zostanie otwarta na inne działy gospodarki, w tym głównie usługi w pozarolniczej gospodarce nieuspołecznionej. Zakłada się, że na koniec lat osiemdziesiątych zatrudnienie w tym sektorze może wynieść ok. 7 procent całości zatrudnienia w gospodarce narodowej.

Wydać się, że podobnie jak wszystkie inne czynniki warunkujące powodzenie zadań „trzylatki”, tak i problem zatrudnienia nie będzie sprawą ani łatwą, ani prostą.

Na dobrą sprawę, tak naprawdę to nie bardzo wiadomo ile kobiet będzie decydowało się na zasiłki wychowawcze, ile młodych małżeństw na takie rozwiązanie będzie stać? Do końca nikt sobie na razie nie wyobraża tego, jak rozwiązać plan przemieszczeń w obrębie działów i gałęzi gospodarki, a nawet poszczególnych zakładów. Jest to zapewne łatwiejsze w obrębie jednego miasta, ale mało dziś jeszcze realne w skali całego kraju, czy nawet województwa. Tak zwana „siła robocza”, to przecież ludzie z ich umiejętnościami i potrzebami, aspiracjami i przyzwyczajeniami.

Takie, a nie inne rozmiary zatrudnienia są m.in. wynikiem poważnych ograniczeń w zakresie inwestycji. Podstawowym faktem określającym politykę inwestycyjną na najbliższe lata jest to, że biorąc

pod uwagę realne możliwości, ogólny poziom nakładów inwestycyjnych w gospodarce narodowej do roku 1985 nie będzie mógł być wyższy niż aktualny. Na politykę inwestycyjną wpływ będzie miał także fakt poważnej dekapitalizacji majątku i znaczne potrzeby odnowienia. Równocześnie po zadziałaniu mechanizmów reformy, a tym samym i przejściu przez samodzielne przedsiębiorstwa całości amortyzacji, spadnie na nie główny ciężar inwestycji restytucyjnych i modernizacyjnych. Inwestycje ze środków własnych przedsiębiorstw winny docelowo stanowić jedną czwartą całości inwestycji w kraju. Ostra polityka kredytowa dla przedsiębiorstw nie stwarza teoretycznie szans na powiększenie tego szacunku.

Zakłada się poważne zwiększenie inwestycji realizowanych przez władze wojewódzkie (wzrost do ok. 30 procent) oraz inwestycji ludności, zwłaszcza w zakresie rolnictwa, budownictwa mieszkaniowego i usług (wzrost do około 18—24 procent). Wśród wariantów przeznaczenia nakładów inwestycyjnych urzędów wojewódzkich w latach 1983—85 nasze województwo nie może się wyróżnić szczególnymi preferencjami. W ramach makroregionu środkowego wyprzedza nas nie tylko województwo stołeczne, ale radomskie. W skali kraju na inwestycje wojewódzkie środki wyższe niż Łódź planuje się przyznać województwom: warszawskiemu (trzykrotnie wyższe), krakowskiemu, katowickiemu (sześciokrotnie), wrocławskiemu, bydgoskiemu, poznańskiemu, gdańskiemu (dwukrotnie) i szczecińskiemu. Jak zwykle i już od lat — Łódź w tył!

Konsekwencją swóistego „manewru inwestycyjnego” powinno być zmniejszenie udziału inwestycji tzw. centralnych. W modelu docelowym ich udział zmniejszy się z około 65 procent w latach 1976—80 do 20—25 procent. W tych warunkach należy liczyć się z tym, że inwestycje wstrzymane w latach 1981 i 1982 nie będą mogły być wznowione wcześniej niż przed 1988 rokiem. Równocześnie nie jest wykluczone, że konieczna okaże się dalsza redukcja inwestycji już realizowanych i wstrzymanie tych spośród nich, których nie będzie można zakończyć w najbliższych latach.

Jest oczywistym, iż w tej sytuacji nie można liczyć na przystop nowych stanowisk pracy, a więc i rozwiązanie problemu zatrudnienia na drodze znaczącej, jak to było dotąd, rozbudowywania potencjału produkcyjnego. Trzeba będzie poszukiwać innych sposobów. W projekcie planu mówi się między innymi o tym, że „należy wykorzystywać możliwości tworzenia drobnych i średnich zakładów produkcyjnych i usługowych we wszystkich formach własności, tj.: państwowej, władzy terenowej, spółdzielczej, prywatnej, spółek mieszanych z udziałem kapitału zagranicznego. Nieodzowna jest kontynuacja polityki rozwijania przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych w Polsce. Ich udział powinien nadal wzrastać, pod warunkiem angażowania kapitału i przedsiębiorczości zagranicznej”.

Angażowaniu kapitału prywatnego i zagranicznego, jako instrumentów ożywienia gospodarczego ma w przedsiębiorstwach państwowych towarzyszyć poszukiwanie skutecznych form wzrostu wydajności pracy, efektywności gospodarowania oraz poprawy dyscypliny, a także efektywnego (skutecznego) systemu płac.

Oto niektóre spośród wielu uwarunkowań, motywacji i prognoz, które składają się na równanie z bardzo wieloma niewiadomymi, do którego można w zasadzie sprowadzić projekt koncepcji narodowego planu społeczno-gospodarczego na trzy najbliższe, niebawem trudne i ważne lata. Czy historia się powtórzy, a więc czy i ten plan, czy druga „trzylatka” okaże się tak udaną, tak pomyślną jak pierwsza, ta z lat czterdziestych, to pokaże najbliższa przyszłość. Warunki, a właściwie szansa ku temu istnieje. Rzecz tylko w tym, czy w porę w to uwierzymy i czy starczy nam ty. władzy i społeczeństwu wytrwałości, upor, konsekwencji, no i mądrości w urzeczywistnianiu tej szansy.

KAROL JÓZEF
STRYJSKI

Szansa na wyjście z kryzysu

TERESA JERZYKOWSKA

Od tego, w jakim stopniu osiągnięte zostaną cele planu 3-letniego, zależy w dużej mierze poziom życia nas wszystkich w następujących latach. Na efekt ostateczny złoży się również czynnik obiektywny, np. urodzaj w rolnictwie i kształtowanie się stosunków międzynarodowych. Jednak do podstawowych czynników należą niewątpliwie postawa wszystkich członków społeczeństwa; czy potrafią zdobyć się na rzetelną pracę mimo nieraz ograniczenia wielu potrzeb, pogodzić z koniecznością ograniczenia indywidualnego spożycia i spokojnie przezebrać 3-letni okres, po którym mamy prawo spodziewać się wyraźnej odczuwalnej poprawy warunków codziennego życia. Przy czym spokojnie nie znaczy w tym przypadku biernie, odnosi się jedynie do uświadomienia sobie konieczności wyrzeczeń i niewyrażania ostrych protestów, gdy stwierdzimy, że postęp nie jest tak szybki, jak byśmy chcieli.

Przyjmując się, że w latach 1983—1985 dostawy towarów rynkowych ogółem będą mogły wzrosnąć o 18—20 proc. w stosunku do roku bieżącego, licząc w cenach stałych. Część tych dostaw przeznaczona będzie na potrzeby jednostek gospodarki uspołecznionej oraz na odbudowę zapasów w handlu. (W chwili obecnej zapasy te są praktycznie zerowe, co w znaczącym stopniu utrudnia handlowanie i doprowadza do sytuacji, w której nawet niewielkie opóźnienie dostaw, wynikające np. z trudności transportowych, powoduje przerwę w sprzedaży i prowadzi do dalszej dezorganizacji bardzo nerwowo reagującego rynku, nawet w zakresie towarów, których z przyczyn obiektywnych brakować nie powinno). Po odliczeniu tej części podaży towarów rynkowych przeznaczonych dla ludności może wzrosnąć, licząc również w cenach stałych, o 16—18 proc. Jest to za mało w stosunku do potrzeb, dlatego też konieczne jest wykorzystanie wszystkich możliwości i uruchomienia bodźców, skłaniających do zwiększenia podaży towarów i najbardziej poszukiwanych usług przez wszystkie sektory produkcji i handlu. Ponieważ jednak potrzeby, zwłaszcza w pierwszym okresie, zaspokojone nie będą, podjęte zostaną działania, aby niedobory te były jak najmniej odczuwalne. W tym celu przewiduje się określenie minimum zaopatrzenia w towary o podstawowym znaczeniu dla codziennego życia każdej rodziny i zagwarantowanie odpowiedniego poziomu ich dostaw na rynek. Trzeba przy tym podkreślić, że ceny w tej grupie towarowej będą poddawane ścisłej kontroli, w większości przypadków będą mieć charakter cen urzędowych bądź regulowanych.

W odniesieniu do wyrobów luksusowych dążyć się będzie do wykorzystania wszystkich możliwości ich sprzedaży za granicą. Uzyskane w ten sposób dewizy przeznaczone będą na zakup surowców do produkcji dóbr podstawowych. Pozostałe towary rynkowe sprzedawane będą po cenach umiarkowanych, gwarantujących równowagę podaży i popytu. Może więc zaistnieć sytuacja, że części obywateli nie będzie stać na ich zakupienie, tym bardziej, że podwyżki cen w grupie towarów zaspokajających potrzeby dalszego rzędu nie będą w żadnym stopniu równoważone rekompensatami. Wzrost cen jest więc kolejną przyczyną konieczności, z którą trzeba się będzie pogodzić w nadchodzących trzech latach. Sprzyjają temu nowe, wynikające z reformy gospodarczej mechanizmy kształtowania cen, a także zakładane prowadzenie przez państwo polityki umiarkowanej inflacji, jako jednego z czynników przewyższających nierównowagę rynkową. Najtrudniejszy pod tym względem będzie rok 1983, w którym wzrost cen wyniesie około 25 proc. Naturalnie nie oznacza to podwyżek cen wszystkich towarów i usług, ani też nie gwarantuje, iż te, które wzrosną, nie będą kosztować więcej niż 125 proc. obecnej ceny. W latach następujących tempo podwyżek powinno maleć.

Jednocześnie, aby zlikwidować nawis inflacyjny, koncentrujący się obecnie u rolników indywidualnych, w pozarolniczej gospodarce nieuspołecznionej i wśród najwyższej zarabiającej pracowników niektórych branż gospodarki uspołecznionej, największe podwyżki cen stosowane będą wobec towarów luksusowych, (bądź w obecnych warunkach względnie luksusowych) oraz w tych przypadkach, gdy nabywca będzie miał możliwość wyboru wśród tańszych i droższych artykułów, spełniających zbliżone funkcje.

Uwzględniając powyższe czynniki przewiduje się, że do roku 1985 wzrost przychodów pieniężnych ludności wyniesie około 65 proc. w cenach bieżących, podczas gdy podaż towarów rynkowych wzrośnie w tym samym czasie, także w cenach bieżących, o 75—80 proc. Powstanie więc nadwyżka towarów nad dochodami ludności, a tym samym sytuacja globalnej równowagi na rynku. Równowaga globalna nie oznacza jednak pełnego zaspokojenia potrzeb we wszystkich asortymentach towarów. Podczas gdy w niektórych branżach będą już pewne nadwyżki, dające odbiorcy możliwość wyboru, w innych nadal występować mogą braki. Uwzględniając obecną sytuację, znaczna poprawa powinna nastąpić w zaopatrzeniu rynku w mleko, owoce, warzywa i ich przetwory, środki czystości i higieny osobistej, standardowe asortymenty artykułów trwałego użytku i środki produkcji dla rolnictwa. Nadal jednak trudna sytuacja dotyczy będzie także istotnych artykułów, jak mięso, wyroby przemysłu lekkiego, zwłaszcza odzież i obuwie oraz wyższe asortymenty dóbr trwałego użytkowania. Stąd też zarówno w okresie planu 3-letniego, jak i w latach następujących konieczne będą działania zmierzające do zmiany struktury konsumpcji. Powinny one obejmować stworzenie barier ekonomicznych, ograniczających popyt na towary, których produkcja jest najbardziej importochłonna oraz te, gdzie między podażą a popytem istnieje dotychczas i przewidywane są największe rozbieżności.

W przemysle lekkim działania koncentrować się będą na produkcji odzieży i obuwia o uproszczeniu asortymentu, zaspokajających podstawowe potrzeby masowego odbiorcy, z jednoczesnym podniesieniem jakości, aby maksymalnie wydłużyć okres ich użytkowania.

Tak więc najbliższe lata, objęte założeniami planu 3-letniego, rysują się w barwach raczej ciemnych: nadal konieczność utrzymania regulacji niektórych towarów, podwyżki cen i spadek siły nabywczej pieniądza, braki na rynku, pogorszenie sytuacji życiowej średniozamożnych, na więc najliczniejszych grup społeczeństwa. W takich warunkach 3 lata to okres długi. Trzeba ponadto wziąć pod uwagę, że realizacja tych założeń może zostać uniemożliwiona, bądź opóźniona zarówno przez czynniki zewnętrzne, jak i wewnętrzne.

Omówione założenia dotyczą bowiem tzw. drugiego wariantu planu, w którym przyjmując, że warunki produkcji rolnej będą przeciętnie pomyślne, reforma gospodarstwa przynosić będzie stopniowo rosnące efekty produkcyjne i ekonomiczne, a sytuacja w handlu z krajami kapitalistycznymi ulegnie normalizacji, przy równoczesnym ugodzieniu nowych zasad refinansowania zobowiązań. Wariant ten charakteryzuje się umiarkowanymi wskaźnikami rozwoju. Uwzględnia np. nadal 5-dniowy tydzień pracy, jednocześnie w polityce gospodarczej rząd wypowiada się za ochroną spożycia przy niższym poziomie inwestycji netto, dość znacznym wzroście pieniężnych świadczeń społecznych, niewielkich wydatkach na spożycie zbiorowe i utrzymującej się rozwiniętej funkcji opiekuńczej państwa.

Z drugiej strony, w wariantcie tym, niezależnie od czynników zewnętrznych, kwia możliwości przyspieszenia procesu wychodzenia z kryzysu i osiągnięcia zakładanych wielkości już w 1984 roku. Efekty jakie przyniesie w najbliższych latach reforma gospodarstwa, zależą w końcu nie tylko od rządu, lecz przede wszystkim od pracujących w myśl jej zasad ludzi na wszystkich stanowiskach.

Wydaje się również, że warto raz jeszcze rozważyć możliwość rezygnacji z części wydatków na spożycie zbiorowe, wolniejszy od zakładanego wzrost płac, zmniejszenie funkcji opiekuńczych państwa, itp., aby w konsekwencji okres dochodzenia do równowagi maksymalnie skrócić. Zbyt długie oczekiwanie na efekty może bowiem przyczynić się do wzrostu ludzi niezadowolonych, przyzwyczajonych do umiarkowanych trudności, a tym samym biernych. W rezultacie realizacja planu 3-letniego rozciągnąć się może na 4 i więcej lat, co miałyby społeczne i gospodarcze skutki w okresie znacznie dłuższym, niż objęty założeniami perspektywicznymi. Proponuje się nadać temu planowi nazwę „Trzyletni Plan Przywrócenia Równowagi Ekonomicznej”, co odpowiada zakładanym w nim celom. Jednak sprawą istotną jest uświadomienie społeczeństwu, że jest to zarazem plan jedynie szansy i nie musieli w końcu uznać sytuacji kryzysowej za normalną. Dlatego też wszelkie możliwości przyspieszenia jej realizacji powinny zostać wykorzystane, nawet kosztem niepopularnych decyzji o przejściowym, krótkoterminowym obniżeniu poziomu życia.

„Trzylatka” po raz drugi

gospodarce uspołecznionej. Stąd autorzy projektu planu konkludują: „w związku z tym należy się liczyć z przejściowym, ale dalszym zaostreniem sprzeczności między dwoma podstawowymi klasami naszego społeczeństwa: klasą robotniczą a chłopstwem”.

Jedyny element, który te sprzeczności jest w stanie łagodzić to poprawa sytuacji na rynku, w tym głównie miesnym. A tej jednak nie należy oczekiwać zbyt przedko. Przejściowo nawet należy się poważnie liczyć z dalszym spadkiem spożycia mięsa (w przybliżeniu w roku 1985 spożycie mięsa na 1 mieszkańca ma wynosić około 54 kg wobec ok. 55 w roku bieżącym). Spadek udziału mięsa w strukturze spożycia ma być rekompensowany zwiększonym udziałem mleka i jego przetworów. Mimo zapewnień, że z punktu widzenia fizjologii i diety nasze potrzeby żywieniowe mają być gwarantowane na średnim poziomie, to jednak myślę, że wobec dotychczasowych przyzwyczajzeń i doświadczeń kartkowych niezmienne trudno będzie uwierzyć każdemu z nas, iż wobec takiej perspektywy czuli się będzie syto i dobrze.

Aby obraz dotkliwosci, sprzeczności i stresów, które będą miały istotny wpływ na indywidualne i społeczne uwarunkowania i motywacje był w miarę pełny, dodać należy, że tak uciążliwe zjawisko jak wzrost kosztów utrzymania jeszcze nie jest za nami i pewnie długo nie będzie. Bowiemy, jak przewiduje się w projekcie „trzylatki” nastąpić musi jeszcze dalszy wzrost cen choć zakłada się gasnącą dynamikę tego zjawiska. Wzrost globalny cen szacuje się w 1983 roku na ok. 25 procent, w 1984 roku na ok. 15 procent i na około 10 procent w roku kolejnym. A przecież same ceny nie są jedynym elementem kosztów utrzymania. Należy mieć przynajmniej nadzieję, że poprawie ulegnie zaopatrzenie w towary, chociaż i tu rychła i radykalna poprawa nie jest zapowiadana. Decyduje o tym m.in. konieczność odbudowy zapasów państwowych.

Już choćby pobieżny przegląd czynników nie pozostających bez znacznego wpływu na warunki społeczne motywacje realizacji trudnych zadań drugiej „trzylatki” sugeruje, że przyjdzie nam te trzy najbliższe lata przeżyć w atmosferze znacznego napięcia, wielorakich trudności, stresów, rozterek, a nade wszystko w potrzebie ogromnego wysiłku. Tylko osiągnięcie porozumienia narodowego i powszechnego zrozumienia celu, przekonanie, że wysiłek ten, który ponieść przyjdzie nam wspólnie nie

dochód narodowy mógłby w okresie „trzylatki” wzrosnąć o 11—18 procent. Nie byłoby to jednak jeszcze poziom sprzed kryzysu, ale należałoby do 82—87 procent tego, co osiągnęliśmy w roku 1978. W rezultacie jednak zmian proporcji, mówiąc inaczej — odwrócenia tych proporcji, które obowiązywały w minionej dekadzie, nastąpić ma zmniejszenie udziału tego, co będzie się dzieliło w stosunku do dochodu wytworzonego. W wyniku tej operacji cały dochód narodowy przeznaczony do podziału w stosunku do najwyższego poziomu sprzed kryzysu (1978 r.) stanowiłby w ostatnim roku „trzylatki” tylko 76—80 procent. Inaczej mówiąc — do 1985 roku byłoby możliwe wyrównanie tylko o około jedną trzecią spadku dochodu, jaki miał miejsce między rokiem 1978 a 1982.

To byłoby w największym skrócie i dużym oczywiście uproszczeniu to, na co realnie można liczyć. Trzeba od razu dodać, że można będzie liczyć, ale... To „ale”, to określone warunki, które jeśli nie zostaną spełnione, to cała ta kalkulacja może — mówiąc delikatnie — wziąć w łeb.

Wszelkie przewidywania i przymiarki byłyby o wiele prostsze gdyby nie nasze zadłużenie i pilna potrzeba odzyskania wiarygodności płatniczej. Za najbardziej prawdopodobne uważa się założenie — piszą autorzy projektu — że nastąpi wynegocjowanie warunków spłat naszych zobowiązań w taki sposób, który pozwoliłby na zwiększenie importu z krajów zachodnich jeszcze w latach 1983—1985. W tym celu niezbędne będzie uzyskanie dogodniejszych niż dotychczas warunków spłat zadłużenia, rozłożenie ich na dłuższy okres i możliwość uzyskania nowych kredytów. Jednakże, jak przynajmniej autorzy projektu, nie można wykluczyć niekorzystnego rozwoju sytuacji, a więc utrzymania przez Zachód dotychczasowych restrykcji w handlu z nami. Konsekwencją tego byłoby: utrzymanie importu z Zachodu na obecnie niskim poziomie, dalszy spadek produkcji i dochodu narodowego do roku 1985, przedłużenie okresu dochodzenia do równowagi rynkowej. „Można ocenić, że jest to wariant stosunkowo mało prawdopodobny — czytamy w projekcie planu — ale wymagający uwzględnienia w dalszych pracach przy traktowaniu go jako wariantu awaryjnego”.

Wśród wewnętrznych czynników powodzenia w realizacji nakreślonego w planie scenariusza rozwoju sytuacji na jednym z pierwszych miejsc wymienienia się wprowadzenie sześciopiętowego tygodnia pracy. Jak dotąd udało się to zrealizować jedynie w przedsiębior-

Nie witamy żadnym hasłem, nie piszemy laurki. A nie robimy tego ze względu na modę, o co się często dziennikarzy posądza, ale ze względu na trudny czas i spore nadzieje, jakie każdy z nas wiąże z techniką. Dlaczego w Łodzi, dlaczego nie tylko VIII, ale i XX razem? Dlaczego tak ważny będzie ten Kongres Polskich Techników? To wszystko próbuje wyjaśnić "Czytelnikowi „Odgłosów”" dr Ksawery Krassowski. Ja chcę napisać zupełnie o czym innym. O społecznych oczekiwaniach.

Dokończenie ze strony 1

nie należą oni do stowarzyszeń.

● A gdyby chcieli? — Mogą należeć do kół terenowych, bo takie też istnieją, ale my przywiązujemy największą wagę do pracy kół zakładowych, gdyż są one ściśle związane z miejscem pracy i jego problemami. To jest podstawa naszej pracy.

● Czy to są najistotniejsze przyczyny? Mnie się one wydają raczej formalnymi. Ludzie na ogół najchętniej należą do tych organizacji, które im coś dają.

— To prawda. Przynależność do stowarzyszenia technicznego nie wszystkim daje tyle, ile by oczekiwali. Działania tu pewna prawidłowość. Jeśli koło zakładowe wykazuje aktywność, jeśli stara się być przydatne w zakładzie, to i z nim się liczą, różnie jego autorytet. Na przykład, w ubiegłorocznych wyborach do samorządów, koła zakładowe niestety nie popisały się, nie potrafiły, w większości, walczyć o obecność swoich przedstawicieli w samorządzie. Wiele więc zależy od inicjatywy koła, od tego, jakie miejsce potrafi zająć w zakładowej społeczności poprzez wyniki swojej pracy, poprzez swoje inicjatywy.

● Czym powinny się zajmować koła zakładowe, aby mogły zdobyć autorytet i uznanie? — Spraw jest bardzo dużo. Wymienie najważniejsze, moim zdaniem. Przede wszystkim doskonalenie wiedzy. Następnie opiniowanie kandydatów na różne techniczne stanowiska w zakładzie pracy. Dalej — specjalizacja, czyli inaczej awans poziomy, a więc podnoszenie roli i rangi inżyniera poprzez jego umiejętności i przydatność w przedsiębiorstwie, a nie tylko awans formalny związany z funkcją, stanowiskiem i zaszerogowaniem.

● Jak już wspominałam na początku do stowarzyszeń technicznych należą tylko część inżynierów i techników, ale NOT występuje w imieniu wszystkich. Dlaczego? — Z kilku powodów. Przede wszystkim NOT jest federacją stowarzyszeń inżynierów i techników różnych specjalności. Dość długo dyskutowany był u nas problem miejsca i roli federacji w życiu społecznym i gospodarczym kraju. Wszystkich inżynierów i techników powinny łączyć wspólne cele. Podstawowy — to jak najlepiej służyć gospodarce i krajowi. Środowisko inżynierów i techników powinno być siłą napędową gospodarki. A to można osiągnąć poprzez wspólnotę działania. I tę rolę ma pełnić federacja. Ona może — i tak czyni — reprezentować głos poszczególnych stowarzyszeń. Ona też reprezentuje nasze środowisko wobec władz, mając na uwadze interesy wszystkich inżynierów i techników, a nie tylko tych należących do stowarzyszeń.

Oczywiście boleję nad tym, że tylko część inżynierów i techników należy do stowarzyszeń, ale nie chcemy liczyć członków zwiększając na siłę. Uważamy poza tym, że część naszego środowiska nie jest świadoma potrzeby organizowania czy zrzeszania się i naszym obowiązkiem jest również reprezentowanie interesów tej części inżynierów i techników. Nasza organizacja jest otwarta dla wszystkich, którzy chcieliby w niej działać. Chciałbym jednak podkreślić — działać, a nie należeć. Zrezygnujmy z budowania w Łodzi przez NOT dom nazwalimy Domem Technika, a nie domem NOT, aby podkreślić, że jest on zawsze otwarty dla wszystkich, którzy chcieliby tu przyjść i działać.

Wiem — i coraz głośniej się już o tym mówi — że nie kongresy, narady, spotkania zmieniają rzeczywistość, ale codzienna ludzka działalność, trudna i rzetelna praca. Jednak nie można zupełnie zrezygnować z kongresów, narad, posiedzeń i spotkań, bo mają one służyć ocenie tego, co do tej pory zrobiono, określeniu węzłowych problemów i przyjęciu programu dalszego działania. Oby tylko na przyjęciu programu wszystko się nie skończyło!

Nie mam zamiaru przesadzać i twierdzić, że cały kraj bę-

dzie się patrzył na Łódź i słuchał uważnie, co na Kongresie Techników Polskich się dzieje, o czym się mówi, ale przecież jakieś nadzieje wiąże się z tym, o czym w Łodzi na spotkaniach plenarnych i w komisjach będzie się mówiło. Jakże to są nadzieje?

Trzeba sobie na początek uświadomić raz jeszcze, czym jest technika. Nie chodzi mi o naukowe definicje. Chodzi o proste rozumienie roli i znaczenia techniki w życiu każdego z nas. A każdy z nas rozumie, że na całość techniki

składają się maszyny, urządzenia, sposoby posługiwania się nimi i ludzie, którzy potrafią i budować te maszyny, i opracowywać dla nich programy, i posługiwać się nimi w produkcyjnych działaniach. I chyba każdy z nas się zgodzi, że rozwój techniki następuje wówczas, gdy między tymi poszczególnymi dziedzinami techniki mamy zgodność, gdy naturalne między nimi zależności pobudzają do działania, a nie hamują. Obecnie przeżywamy taki okres, kiedy te zależności wpływają hamująco. I to nie tylko dlatego, że bra-

kuje i tego i tamtego, ale przede wszystkim dlatego, że nie ma motywacji rozwój ten pobudzających.

Nie wystarczy przecież — a obserwujemy to od dawna — wykształcić dużo inżynierów i techników, tworzyć dla nich etaty w fabrykach i biurach projektów czy konstrukcyjnych, aby natychmiast sypały się wynalazki jeden po drugim, a poziom produkcji był najwyższy na całym świecie. Z drugiej jednak strony — skoro mamy tylu inżynierów, tyle różnych biur projektów,

wyższych uczelni, instytutów naukowych i badawczych — to siłą rzeczy każdy ma prawo się spodziewać niebawym osiągnięć technicznych. Tymczasem — wani coraz to nowe pojazdy w Kosmos wysyłają, a u nas wystarczy byle deszczowy czy mroźny poranek, aby tramwaje zjeżdżały do zajezdni z napisem „awaria”. Mamy — powiada ten i ów — okres trudności, brakuje wielu rzeczy, a nasi inżynierowie nie nie robią, głowa nie ruszają, zastępczych urządzeń czy środ-

Poza tym sądzę, że nie liczba członków decyduje o tym, czy organizacja poczuwa się do reprezentowania interesu środowiska, a to, czy umie, czy potrafi te interesy zrozumieć, skonkretyzować i występować z nimi do władz.

● Ostatnio mówi się u nas, że mamy w porównaniu z innymi krajami za dużo inżynierów.

— Różnie się na ten problem patrzy. Są takie poglądy. W trakcie przygotowań do Kongresu Techników Polskich padły propozycje, aby zmniejszyć liczbę kształconych inżynierów. Oznaczałoby to likwidację niektórych szkół technicznych. Propozycja ta była szeroko dyskutowana i spotykała się z wieloma protestami.

● Dlaczego? Przecież było-

chciał jak najlepiej. Główną pełną pomysłowość, to i owo chciałby naprawić, usprawnić i nie ma kto go wysłuchać, wytłumaczyć, że owszem, jego pomysł jest dobry, ale, z tych czy innych względów, obecnie nie do zrealizowania. Na ogół lekceważy się takich zapaleńców. Mówi się ironicznie, że napchało im się głowę na politechnice różnymi „mądrościami” i teraz tylko z nimi kłopot.

● A czy nie jest to również obawa przed młodymi?

— Tak też się zdarza. I to powoduje, że oni nie widzą dla siebie perspektywy.

● Przede wszystkim możliwości awansu.

— Właśnie. Wspominałem już o awansie poziomym. Czegoś takiego u nas nie ma. Wzrost płacy — jak już mówi-

mogą więcej zrobić. Jeden z dyrektorów opowiadał mi, że musiał dwóch bardzo zdolnych technologów przenieść do produkcji, aby mogli więcej zarobić. Nie jest to zjawisko pożądane.

Dalej. Jeśli rzutki, pełen inicjatywy inżynier mechanik zakłada warsztat samochodowy, to nie ma w tym większego niebezpieczeństwa. I trudno powiedzieć, że porzuca on zawód. Porzuca przemysł, w którym nie bardzo widzi dla siebie miejsce. Można się spierać o to, czy to jest zjawisko pozytywne, czy nie. Ale warto też pamiętać o stanie usług motoryzacyjnych.

Znacznie gorzej jest natomiast, gdy rzuca pracę w fabryce, aby założyć stragan z warzywami albo sklep komi-sowy.

Nasze środowisko występowało z niezbędnymi uwagami, sygnalizowało pojawiające się niebezpieczeństwa w rozwoju techniki i gospodarki, wskazywało na występujące zagrożenie i nieprawidłowości. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nikt tego nie słuchał.

● Sprawy, którymi żyje nasze środowisko nie docierają jednak do szerokiej opinii społecznej.

— Składa się na to szereg przyczyn. Spodziewamy się na przykład, że nasz Kongres będzie miał przełomowe dla nas, i nie tylko dla nas, znaczenie. Ale, w jaki sposób informacje o tym zostaną przekazane opinii społecznej, to już do nas nie należy i od nas nie zależy.

● Aluzję pojąłam.

— Ludzi techniki zwykle się

Nie mamy się czego wstydzic

by korzystniej, gdyby kosztem wielu słabszych ośrodków kształcenia inżynierów powstały silniejsze, lepiej do tego przygotowane, dysponujące dobrym wyposażeniem i wysoko wykwalifikowaną kadra.

— Tak też argumentowano. Ale to wymagałoby stworzenia systemu stypendiów fundowanych, rozbudowy domów studenckich. Z wielu powodów jest to obecnie niemożliwe. Trzeba byłoby przebudować cały system kształcenia technicznego. Poza tym dzisiejsi studenci będą inżynierami za kilka lat, a pytanie dotyczy liczby dziś już pracujących inżynierów.

Myślę, że odpowiadając na to pytanie trzeba pamiętać, że porównywanie z krajami wysoko rozwiniętymi może być mylące. W niektórych z tych krajów jest inny system przygotowywania kadry technicznej. Podstawową kadre kształci się tam w szkołach, które wypuszczają absolwentów będących więcej niż technikami, mniej niż inżynierami. Wypełniają oni zasadnicze funkcje w przedsiębiorstwach przemysłowych, ale nie są zaliczani do kadry inżynierskiej. I to może zaciemniać obraz.

Dalej. Jeżeli porównamy stan obecny u nas, gdy przemysł pracuje bez pełnych obciążeń, gdy wstrzymane są inwestycje, to liczba kadry inżynierskiej może wydawać się zbyt duża. Ale przecież tak zawsze nie będzie.

● Dla wielu młodych inżynierów nie ma jednak pracy. Zdarza się tak, że przychodzi do fabryki absolwent politechniki i proponuje mu się czasowo pracę przy warsztacie. Odmawia, bo — jak twierdzi — nie po to się uczył. Jego odpowiedź wywołuje oburzenie robotników. Jest to sytuacja nienormalna. Wywołuje ona też rozczarowanie młodych inżynierów, którzy chcieliby móc w pełni wykorzystać swoje umiejętności.

— Nie jest też dobrze, jeśli młody inżynier bezpośrednio po politechnice idzie do pracy w biurze projektów. Zeby był dobrym inżynierem — albo jak my to niekiedy mówimy: dobrym oficerem produkcji — trzeba przejść twardą szkołę życia, trzeba poznać różne stanowiska pracy w fabryce. Tej wiedzy nie da żadna, nawet najlepsza uczelnia. A bez tej wiedzy trudno być naprawdę dobrym inżynierem. Staż tego nie załatwi.

Inna sprawa, że często młody inżynier czuje się intruzem w przedsiębiorstwie. On by

iem — wiąże się z zajmowaniem stanowiskiem. My postulujemy, żeby wiązać się z kwalifikacjami, z umiejętnościami, z przydatnością dla fabryki. Taki system awansu w znacznym stopniu rozwiązałby wiele spraw, a przede wszystkim stanowiłby zachętę do doskonalenia wiedzy. Przecież teraz panuje ogólna niechęć do nauki. Bo i po co? Narzekamy, na przykład, że mamy ograniczony dostęp do literatury zagranicznej. A jak ta literatura jest wykorzystywana? Minimalnie.

● Przede wszystkim trzeba znać języki obce.

— Bez względu. Ale jak ktoś zna, czyta i stara się innym przekazywać w ten sposób zdobytą wiedzę, to najczęściej spotyka się z lekceważącym stosunkiem: takiś mądry, bo gdzieś to przeczytał. A to przecież powinna być pochwała. Wiele spraw, do których dochodzimy nieraz z takim trudem, zostało już dawno opisanych w zagranicznej literaturze technicznej, tylko mało kto to przeczytał. Bez znajomości literatury zagranicznej, bez poznawania doświadczeń innych, nie można dopracować się własnych rozwiązań.

● I wtedy nie trzeba byłoby kupować tylu niepotrzebnych licencji, o co zresztą często obwinia się inżynierów.

— Czy zasłużenie? Przecież nie zawsze kupowali ci, którzy powinni. A poza tym kupno licencji uzależnione było od udzielanych kredytów. Czy to znaczy, że nie było własnych rozwiązań? Były, ale nie miało do nich zaufania. Czego natomiast nie było? Nie było przemysłowego, planowanego wysyłania ludzi do innych krajów, aby uczyli się tam, podpatrywali doświadczenia w różnych krajach i później szukali własnych rozwiązań. Taka polityka dałaby większe i trwalsze rezultaty niż kupowanie licencji, których wykorzystanie wymagało adaptacji, importowanych komponentów lub surowców oraz maszyn.

● Dlaczego inżynierowie uciekają z zawodu?

— Myślę, że to o czym do tej pory rozmawialiśmy już w jakimś stopniu jest odpowiedzią na to pytanie. Domyślam się też, że chodzi również o pozycję inżyniera w przedsiębiorstwie.

● I o to, jak jest on wynagradzany.

— Może najpierw, czy inżynierowie uciekają tylko z zawodu. Otóż nie. Często przechodzą do produkcji, bo tam

● A jak inżynierowie powinni być opłacani?

— Przede wszystkim uważam za zjawisko niebawym szkodliwe przeciwstawianie kadry technicznej robotnikom. Występuje tu bowiem ścisła zależność. Zadaniem inżyniera jest przygotowanie dla robotników miejsca pracy, technologii, organizacji pracy. Bez tego robotnik wiele nie zrobi. Ale i najbardziej zdolny inżynier, który wszystko doskonale przygotowuje, sam żadnego produktu nie wykona.

Inżynier musi jednak mieć autorytet. Może on dysponować ogromną wiedzą i doświadczeniem. Robotnik to będzie cenil, ale też nie do końca, jeśli będzie mógł powiedzieć inżynierowi: coś pan wart, jak pan tak mało zarabia w porównaniu ze mną. O autorytecie decydują bowiem bez wątpienia i walory osobiste, i wiedza, i doświadczenie, ale również wynagrodzenie. Ono musi być odpowiednio wyższe od wynagrodzenia tych, którymi się kieruje. To wynika też z rachunku ekonomicznego, o którym tyle się mówi, a który rzadziej się stosuje w praktyce. Bez tego ciągle będziemy natykali się na różne przeszkody.

Sprawy te, sądzę, znajdują odpowiednie odbicie w dyskusji na Kongresie Techników Polskich, mamy bowiem szereg uwag do proponowanej reformy płac.

● Zapewne będziecie dyskutować i o innych aktualnych sprawach?

— Tak. Dyskutowaliśmy już projekt założenia Planu Trzyletniego i widzimy brak spójności między jego poszczególnymi częściami. Mamy też uwagi co do reformy gospodarczej. Nie czekaliśmy jednak z tym do Kongresu. Nasze uwagi i wnioski przekazaliśmy już pełnomocnikowi Rządu do spraw reformy. Ale nie chcemy ograniczać dyskusji tylko do spraw bieżących. Równie ważna jest przyszłość techniki, postępu technicznego. Obecnie na ten cel wydaje się mało pieniędzy, a reforma wprowadza dalsze niebezpieczne ograniczenia. Jak ważny jest postęp techniczny dla gospodarki nie muszę chyba nikogo przekonywać.

● Czy Kongres będzie próbą rehabilitacji środowiska inżynierów i techników w oczach opinii społecznej?

— A czy jest taka konieczność? My się do winy nie po-

uważać za przeciwieństwo humanistów. Jest to opinia nieprawdziwa i krzywdząca. Przecież wielu inżynierów nie tylko ma humanistyczne zainteresowania i próbuje, w miarę czasu i możliwości, uczestniczyć w życiu kulturalnym, studiuje ekonomię, zdobywa tytuły naukowe, studiuje socjologię.

● Czy przeszkody nie stanowią przypadkiem hermetyczny język, jakim zwykli się posługiwać ludzie techniki?

— Na pewno tak. Wśród wielu z nas panuje przekonanie, że jeśli mówi się lub pisze bardziej żwawo, to wypada bardziej naukowo. To nie sprzyja popularyzacji ani techniki, ani spraw, którymi żyje nasze środowisko.

● Obecny Kongres nosi podwójną numerację: VIII/XX. Dlaczego?

— Pierwszy Zjazd Techników Polskich odbył się w 1982 roku w Krakowie. Obecny odbywa się więc w 100 lat później. Do powstania II Rzeczypospolitej odbyło się jeszcze 8 Kongresów. Do II wojny światowej sześć. Po wojnie siedem. Pierwszy odbył się w 1946 roku i choć zgromadził ludzi wykształconych przed wojną, często klasowo obcych dokonującym się przemianom, to przecież szukających swego miejsca w odbudowującej się Polsce. Zjazd ten w dużym stopniu przyczynił się do podjęcia odbudowy polskiej gospodarki, techniki.

Wróciłoby więc niejako do historii, której nie musimy się wstydzic. Historia ta bowiem pokazuje, że polscy inżynierowie, technicy zawsze na pierwszym miejscu stawiali dobro kraju i temu chcieli służyć, wiedzą i doświadczeniem służyć. Jesteśmy świadomi różnic światopoglądowych i zapatrywań, jakie są udziałem naszego środowiska, ale też mamy świadomość nadrzędnych celów, wśród których na pierwszym miejscu jest dobro Polski. Chcemy służyć władzy, która gwarantuje wyście naszej gospodarki, naszego kraju z kryzysu.

Nasz Kongres będzie więc ósmym po wojnie i dwudziętym w ogóle. Proponujemy Kongresowi — bo on może tylko o tym zdecydować — aby powrócić do ciągłości historycznej i liczyć kolejność od 1882 roku.

● Skoro wróciłicie do historii, to pozwólcie sobie zacytować fragment dokumentu przyjętego przez Polski Kongres Inżynierów, jaki odbył się we wrześniu 1937 roku we

Lwowie. Oto cytat: „Świat inżynierski ma ambicję, aby jego koncepcja stała się w przyszłości racjonalną podstawą do opracowania ścisłego planu mobilizacyjnego sił gospodarczych Rzeczypospolitej czyli, aby przez inżynierów opracowany wzorzec gospodarczo-techniczny kiedyś stał się myślowym punktem wyjścia dla przyszłego, obowiązującego wszystkich, Państwowego Planu Gospodarczego Polski”. Czy ten fragment nie mógłby się z powodzeniem znaleźć w dokumentach XX Kongresu Techników Polskich z 1982 roku?

— Teraz ja pojąłem aluzję, ale sądzę, że jest ona bezpodstawa. Po pierwsze — „świat inżynierski” z 1937 roku chciał, aby jego punkt widzenia stał się kiedyś podstawą takiego planu, którego przecież nie było. Był to postulat, jak na owe czasy bardzo postępowy. My dziś mamy uwagi do projektu planu już istniejącego, pragniemy go doskonalic. A to jest różnica zasadnicza. Po drugie — potencjał gospodarczy ówczesnej Polski i dzisiejszej jest nieporównywalny. My go nie musimy budować, ale w pełni wykorzystywać. Po trzecie — nasz głos, nasze uwagi i postulaty nie są pomijane, tylko nie w pełni wykorzystywane. Tak więc analogie są pozorne. Ale jedno jest wspólne — troska o teraźniejszość i przyszłość Polski, głęboki patriotyzm „świata inżynierskiego” wówczas i dziś. I dlatego nie mamy czego wstydzic się naszej historii.

● Dobrze. Wycofuję się. Chciałabym natomiast zapisać jeszcze, czy wybór Łodzi na miejsce Kongresu był przypadkowy czy celowy?

— Był to przypadek. Była to inicjatywa łódzkiego środowiska inżynierów i techników. W imieniu tego środowiska na VII Kongresie Techników Polskich, który odbył się w 1977 roku, złożyłem taką propozycję. Została ona przyjęta. Planowano, że Kongres odbędzie się w kwietniu 1981 roku, później przełożono termin na listopad, ale dopiero teraz warunki pozwoliły na dokończenie przygotowań i odbycie obrad.

Dlaczego wystąpiłmy z taką inicjatywą? Przede wszystkim dlatego, że Łódź jest jednym z takich polskich miast, w którym widać wielkość powojennych przemian, widać to, co przez 38 lat w tym mieście zrobiono. Inna sprawa, czy my uważamy, że zrobiono wszystko, co trzeba i czego byśmy pragneli. Ale jeśli porównamy Łódź roku 1945, Łódź, która przecież nie była zniszczona przez wojnę, z Łodzią dzisiejszą, to widać ogrom dorobku. Nie mamy się czego wstydzic, a mamy z czego być dumni — choć może to zabrzmie trochę sloganowo. Ale taka jest prawda.

Poza tym, nasz aktyw, nasi działacze autentycznie chcieli zająć się przygotowaniem Kongresu. A nie była to tylko sprawa ambicji, chęci pokazania się, co nie jest przecież złe, ale również chęć sprawdzenia się pod względem możliwości organizacyjnych. Pracujemy już od dwóch lat. Zaangażowane są wszystkie stowarzyszenia, każde odpowiada za jakiś odcinek. Jest to również znakomita okazja dla zdobycia nowych doświadczeń i sprawdzenia się w działaniu. Jak nam się to udało — pokazuje przebieg obrad. Ale myślę, że dobrze przyjmimy ponad tysiąc delegatów oraz wielu gości.

● Zycze więc w imieniu naszego zespołu i naszych Czytelników owocnych obrad oraz wypracowania takiego programu, aby przyczynił się on do postępu i techniki i gospodarki.

— Dziękuję.
**Rozmawiała:
BOGDA MADEJ**

ków nie proponują. Pozornie może się wydawać, że ma rację. Ale wielu inżynierów może powiedzieć zaraz, że przecież mieli już różne pomysły, proponowali takie czy inne innowacje, zgłaszali różne wynalazki i udogodnienia, proponowali rozwiązania niebanalne, tylko, że nikogo to nie interesowało. Więc po co mają się teraz wysilać?

Rzecz więc w tym, aby te społeczne oczekiwania, nieraz być może w sposób uproszczony wyrażane, a z drugiej strony dokonania ludzi techniki

były zbieżne, pokrywały się ze sobą, bo będzie to wówczas stanowiło o rozwoju naszego kraju. Jeśli tej zgodności nie będzie, będziemy ciągle w okowach kryzysu, niedorozwoju, czy wręcz stagnacji. Tej zbieżności nie osiągnie się jednak żadnymi uchwałami, dekretnami, programami, choćby były najślusniejsze. Osiągnięciem się ją wspólnym wysiłkiem, kiedy zaczyna funkcjonować takie mechanizmy zarówno społeczne, jak i ekonomiczne, przy sprzyjającej atmosferze, które te zgodności będą niejako wymuszały. Chodzi po pro-

stu o to, aby między innymi ludźmi z inicjatywą, pomysłowymi, o wielkiej wiedzy i doświadczeniu szukała praca, a nie oni szukali pracy. Chodzi też i o to, aby ludzie zdolni nie musieli emigrować za granicę, gdzie robią kariery jako wynalazcy czy inicjatorzy różnych przedsięwzięć, ale by to samo mogli robić w kraju i aby to krajowi było potrzebne.

Wiem, że takie cele nie jest łatwo osiągnąć. Ale nie można z nich rezygnować. Nawet jeśli stawia się sobie zadania

trochę na wyrost, mierzy się bardziej w przyszłość niż w teraźniejszość. Nasze wychodzenie z kryzysu zależy również — i to w dużym stopniu — od środowiska techników i inżynierów. Od ich myśli, woli działania, jego skuteczności. Musimy pamiętać, że posiadamy znaczny potencjał produkcyjny, w części na wysokim poziomie, w części wymagający modernizacji i rozbudowy, że nie potrafimy jednak tego potencjału wykorzystać w pełni i to nie tylko dlatego, że akurat mamy trudności z importem, a jego wykorzystywanie

od importu jest w jakiejś części uzależnione. Nie potrafimy go wykorzystywać również dlatego, że nie udoskonaliśmy organizacji pracy, że nie przezwyciężyliśmy marnotrawstwa, że ciągle boimy się reformy, odpowiedzialności, decyzji, samodzielności. Byłoby jednak nieporozumieniem, gdybyśmy o brak różnych rzeczy obwiniali tylko środowisko techników polskich. Wina obciążenia jesteśmy wszyscy. Każdy w jakiejś mierze. A słabości te można przezwyciężyć tylko wspólnym działaniem, współ-

pracą, dobrze rozumianą i wykonywaną. Spodziewamy się więc, że na Kongresie Techników Polskich w Łodzi padnie odpowiedź na pytanie: co trzeba usunąć z naszego życia społecznego i gospodarczego, aby technicy polscy mogli spełnić społeczne oczekiwania i przyczynić się do rozwijania polskiej techniki i podnoszenia naszej produkcji na wyższy poziom?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Inżynier, z wieloletnim stażem, samochód, wolny czas, przyjmijcie chętnie pracę w sektorze prywatnym lub przedsiębiorstwie polonijnym.

Znamy te teksty dziwnych nieco ogłoszeń, od których roi się obecnie w rozmaitych gazetach. Dlaczego? Dlaczego człowiek, który z wyboru chyba studiował w Politechnice czy Uniwersytecie, później otarł się o prawdziwe życie w przemyśle, jest fachowcem, wykwalifikowanym specjalistą — nagle rezygnuje, rzuca wszystko i szuka na dobrą sprawę obojętnie jakiej pracy, byle lepiej płatnej?

Czy zawsze jest to klasyczne „za chlebem”, jak ironicznie można by określić uzależnienie swej drogi życiowej od ilości wypłacanych co miesiąc biletów NBP? Czy rzeczywiście tylko „szmal” się liczy? A może są niedoceniani? Jedni grzeszą w marazmie swych firm, ale inni szukają, buntują się. Może chcą jeszcze coś w życiu osiągnąć? I kto nam na te pytania da odpowiedź?

Mirosław Obraniak ogłoszeń nigdy nie zamieszczał. To nie w jego naturze. Magister. Inżynier. Mechanik z wykształcenia i zamiłowania. Rzutki, energiczny, nikt nie wierzy, że stuknie mu niedługo „pięćdziesiątką”. Konstruktor. Jeżdża po kraju jego „dzieci”: jakieś plugi, piaskarki samochodowe, (czy raczej „solniczki”). Autor wzorów użytkowych, autor wielu publikacji w fachowej literaturze. Tak zwane złote ręce, otwarta głowa, jednym słowem — „zdolna bestia”. Ostatnie miejsce pracy — agent w punkcie skupu surowców wtórnych...

Motywacje. Magiczne słowo, które pcha człowieka przez całe życie dziwnymi często drogami. A oprócz tego — zamiłowania, pasja, układy i wygodnictwo, ambicje i szary, codzienny „tor przeszkód”, życiowa pajęczyna, z której nie wszyscy mają siłę i odwagę się wyplątać. No tak, zrzęca seria truizmów. Ale żeby konstruktor w szmaty i gałgany poszedł! Niewiarygodnie! Dlaczego?

— Wie pan, ja nie daję się wbić jak kółek w ziemię — zaczyna szef punktu skupu przy ulicy Franciszkańskiej 71 w Łodzi. — Naturę mam niespokojną, ale nie w tym rzecz, że lubię zmiany wokół.

Nienawidzę pracy bez perspektyw ze świadomością, że nikt z mojej „harówki” żadnych korzyści nie będzie miał, nie znoszą po prostu roboty „sobie a muzom”...

— Zawsze miałem techniczne zamiłowania i jak to mówią „snykalke” w tym kierunku. Choć w czasach młodzieńczych z matematyką miałem kłopoty, to później okazało się, że to tylko narzędzie w ręku inżyniera, które można opanować. Po skończeniu studiów w Politechnice Łódzkiej przez cztery lata chodziłem w górze pracownika naukowego. Jakież to jest jednak dalekie od życia! Szybko się miałem przekonać, że było to jalone lata, takie życiowe teoretyzowanie. Dziś śmieję się z tego bardzo, ten „biologiczny cykl” w uczelniach wyższych: studenci przeobrażają się w asystentów, później w doktorów, docentów, wreszcie jak piękne motyle — w profesorów. A życie płynie gdzieś obok, wykładają sobie, a przemysł, choćby, którego zagadnień są takimi znawcami funkcjonuje sobie...

— Szybko też zrobiłem pierwszą „volte” i włądowałem się w Wytwórnię Urządzeń Komunalnych „WUKO” — początkowo na pół etatu. Wie pan — to była frajda! Dwudziestu paru młodych chłopaków, niedoświadczonych szczeniaków, ale z jakim zacięciem do roboty! I tworzy się na miejscu — widzisz swoje dzieło. Z deski temat schodzi od razu do warsztatu, pod twoim okiem to spawają, skracają i na próbę. Coś nie wyjdzie — poprawiasz, śliczysz nad tym dniami i nocami, ale wiesz, że to potrzebne, że ktoś na efekt twojej pracy czeka. Żyjesz, tworzysz!

— W WUKO walczyłem głównie ze sprzętem zimowym. Wie pan, wówczas się śnieg miotła odgarniało, to była połowa lat pięćdziesiątych. No i tworzyliśmy NOWE, dla nas wszystkich. Bez fałszywej skromności: w konstrukcje piaskarek, odśnieżarek, kolejnie, udoskonalane modele, całe generacje, w rodzinę plugów odśnieżnych — włożyłem całą swoją duszę i mogę dziś śmiało powiedzieć, że to również moje dzieło. A wyroby WUKO mają wysoką markę, znane i cenione są nie tylko w kraju. To była świetna robota i z doskonałymi ludźmi się pracowało.

— Równoległe, trochę jako hobby i dla paru groszy więcej prowadziłem wykłady w dwóch technikumach. Wykładałem „Cześć maszyn” i starałem się chłopakom w sposób prosty i przystępny wbić do głów pewne generalne zasady, praktyczne realia przemysłowe, wypierając na bok te wszystkie teoretyczne bzdury. Zabawę miałem przednią: jako pociągowiec miałem tygodniowo maksymalnie 12 godzin „nauk”, etatowcy tukli po 42 również. Jak oni to wytrzymywali, w jakim stylu przekazywali chłopakom wszystkie wiadomości — nie wiem. Ja po 4-5 godzinach byłem kompletnie wykończony, ale wkładałem w to całą swoją energię i wiedzę. Najlepszy dowód, że wizytatorzy zawsze do mnie trafiali na zajęcia, a szkoły zbierały gratulacje.

— No ale wróćmy do WUKO, które początkowo zwało się Komunalne Przedsiębiorstwo Taboru i Sprzętu Sanitarnego. Potem powiatowe nowe wiatry — zaczęto wszędzie tworzyć ośrodki badawcze. No i powstał OBROM — Ośrodek Badawczo Rozwojowy Oczyszczania Miast, powstał praktycznie z WUKO, a na rok i ja tam trafiłem. Ale łącznie barowałem się ze śniegiem i gołębiami bodaj trzynasty rok i już kręciłem się za czymś nowym, już mnie „nosiło”. Tu wykształcone przez pas kadry dawały sobie doskonale radę, a zresztą nie można przeczyć w nieskończoność, wymyślać nowych typów plugo-piaskarek. Rozglądałem się więc za czymś, gdzie mógłbym konstruować jakieś naprawdę użyteczne urządzenia od podstaw. Organizowano wtedy biuro projektowe dla tak nieulubianej branży jak surowce wtórne. Pięknie się zresztą nazywało: Biuro Projektów Techniczno-Konstrukcyjnych Nietemalicznych Surowców Wtórnych „Biprowtor”. Poezja prawda? To było to! Zaniedbana branża, kompletny brak nowoczesnych maszyn i urządzeń (do szmat? do gałganów?), potrzebny był duży wysiłek i wkład pracy, by coś na tej surowcowej niwie drgnęło.

— Chciwy nowego, ciekawej, nietypowej, a przecież — bardzo potrzebnej roboty. — przeniosłem się. Ale tu już była zupełnie inna pragmatyka biura: trzeba było jeszcze umieć współpracować z innymi instytucjami, koordynować robotę, umieć gospodarować. Ładnie się zapowiadało, ruszyłem znów ostro do przodu (tak mi się przynajmniej wydawało), ale gdzieś po dwóch latach okazało się, że nie ma forsę na realizację nowych koncepcji, na inwestycje w tej nieulubianej nadal branży. Robiło się projekty na półki. Zaczynało zupełnie brakować zieleń, a te 50 osób w biurze chciało pracować, chciało zarobić na chleb.

— I co, miałem czekać na mannę z nieba? Wsiadłem w pociąg z dwoma jeszcze „pistoletami” i ruszyliśmy w Polskę. No i przywoziłem cały worek zleceń, ze Śląska, z „Energoprojekt”, „Trafilem” i hutę „Stalowa Wola” i „Łabędy” i nasze MPK. Często jakieś drobne, niewdzięczne tematy, takie projektowe

śmieci, ale były. Słynny „Bumar” nie chciał robić na przykład pewnej aparatury kontrolno-pomiarowej, bo nie bardzo wiedział jak temat ugryźć — myślni wykonali tę robotę. Było i o przyrzadzenie dla wspomnianych hut, a dla jednej fabryki w Skierniewicach skonstruowałem... most. Rozpiętości miał około 40 metrów, a łączył plac węglowy z odległą o tyle metrów kotłownią zakładu. To była właściwie praca dla „budowlanców”, ale braliśmy takie tematy, by nie siedzieć z założonymi rękami.

— Ja byłem — jak twierdzono — dziwny kierownik (szefowałem pracowni technologiczno-konstrukcyjnej), bo sam rysowałem, czyli „walczyłem na desce”. Wszyscy byli przyzwyczajeni, że kierownik to z czasem ginie w papierzyską i tylko umie rządzić. A ja miałem taki sam „przerób” jak koledzy, jeszcze im tematy ściągałem z całego kraju i wszystko koordynowałem. I dawałem radę, choć po prawdzie, po dziesięciu latach musiałem zrezygnować z tej zabawy w nauczyciela w technikum. Czasu już nie stawało. A most świetnie się spisuje. Robiliśmy zreszt-

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Nie będę jak kółek w ziemi!

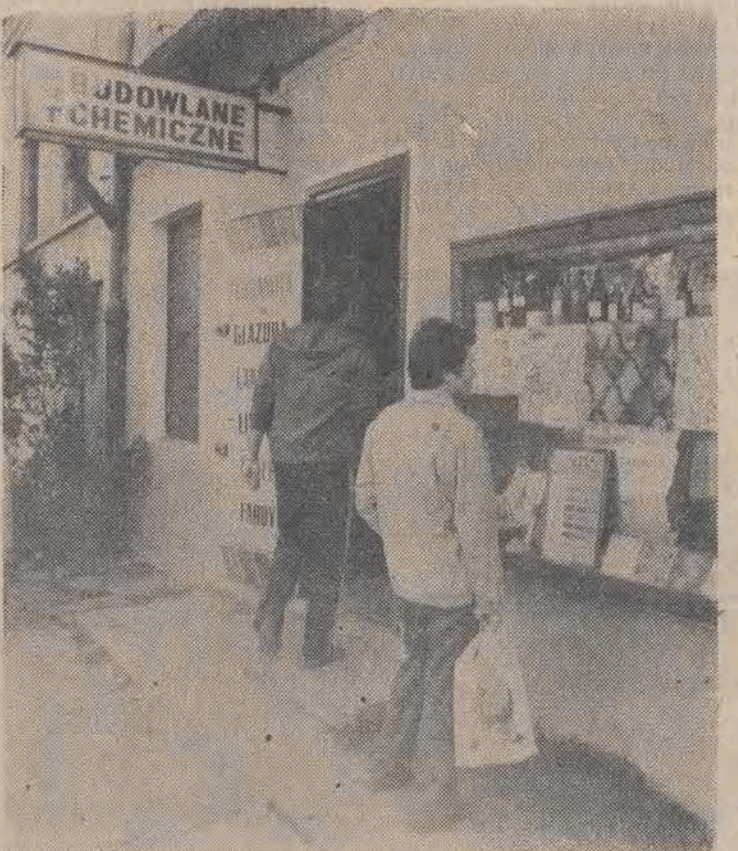
tą tematy „od sasa do lasa”, pomosty do przeglądu pantografów dla MPK również. Ale coż to szkodzi? Ja nie znoszę szlapany, szablony, tej samej w kółko, ogłupiającej roboty — wtedy się po prostu psychicznie zdycha...

— Biura i tej często fikcyjnej roboty miałem powoli dosyć. Bo jak długo można na siłę ściągać tematy? Byłem przekonany, że biuro umrze śmiercią naturalną. A dziś stwierdzam, że się myliłem — nadal się utrzymują. Przedsiębiorstwa zlecające niepotrzebne w sumie prace muszą mieć wyrobione kosza. Prace idą na półkę, ale biuro konstrukcyjne to doskonały wentyl bezpieczeństwa. Może to niesprawiedliwa generalnie ocena, ale tak to dziś widzę. Doskwierało mi to coraz bardziej, po prostu chciałem wciąż wykonywać coś autentycznie potrzebnego. W biurze walczyłem jeszcze przed komisją rozjemczą dodatek stażowy, bo ówczesne zjednoczenie nie chciało mi go przyznać. Należało mi się, jak psu zupa, ale medytowałem pewnie „a może się uda nie dać Obraniakowi”. Raptiem 700 złotych miesięcznie, ale pięć lat temu to były spore pieniądze. I nadal się rozglądałem za czymś nowym.

— Zaproponowali mi, pamiętam, wejście do samorządu firmy, ale ja się już wówczas zdecydowałem — przechodzę w śmieci, w gałgany. Choć dziś, jak mówię, szokuje mnie, że biura nadal robią najczęściej nikomu niepotrzebną robotę, a ja rzeczy zasrane, szmaciane, ale potrzebne. Bowiem zostałem w branży. Znałem ją doskonale, jej niedostatki też, i jestem agentem. To jest praktycznie, po ostatnich zmianach w funkcjonowaniu punktów skupu, półprywatna inicjatywa, ale całe życie nie znośm, by mnie za rękę prowadzono.

— Kochany, w innych punktach pan był? Coż to jest — dziadostwo. A ja na początek 40 dni urlopu poświęciłem, zaprojektowałem tu każdy gwóźdź, wszystko nadzorowałem, utopiłem tu sporo grosza, bo i sporo sprzętu sam kupiłem, ale mam wyróżniający się chyba wystrój, zaplecze, telefon (bodaj jako jedyny) i kwiatki na ścianach też są.

— Proszę pana, wszystko zależy od samozaparcia i inwencji. A tych cech mi nie brakowało nigdy. I znajomości życia również. Jak tu wstąpiłem w grudniu, to pierwsze co rzuciło się w oczy to stary, nieczynny piec. Z ROM chcieli przysłać zdumia w marcu, kwietniu. Ja go znalazłem tego samego dnia i przebudowałem mi piec w dwie godziny. Nie kryje, była potem i wódeczka i zagrycha, ale było tempo i były efekty roboty. Wszyscy sugerowali, że ruszę w czerwcu, a ja tu przez te 40 dni niemal spałem i przecięcia wstąpiłem dokonałem w marcu tego roku.



— Pomysłów miałem i mam sporo, jak rozkręcić tę niewdzięczną robotę, jak ją usprawnić, uczynić atrakcyjną dla obu stron. Jestem jedynym agentem, który ma konto w banku, po co mi operacje tymi biletami Narodowego Banku. Instytucja dostarcza mi makulaturę, a ja daję polecenie do banku wykonania przelewu z mojego konta.

— To jest także doskonała zabawa. Jaka tu galeria typów się przewija, z czerwonymi nosami również. Ale ja w pierwszym miesiącu od razu 20 ton surowca oddałem, co wielu agentom w życiu się nie zdarzyło. Biegałem po mieście, składałem oferty również instytucjom — i zaowocowało. Teraz dochodzę do 30 ton, mógłbym i dwa razy więcej i rozszerzyć asortyment, przykro ludzi odsyłać z kwitkiem, ale mam tylko 30 metrów kw. magazynu. Obok jest pomieszczenie, w fatalnym stanie technicznym (ciemna nora, zapadające się podłogi, grzyb na ścianach), ale adaptacja mnie nie przeraża. Trzeba by tylko znaleźć, to znaczy ROM by musiał, jakiś pokój dla mieszkającego tu inwalidy. Ale

— Aha, nie powiedziałem najważniejszego. Ja tu prowadzę jakby dwa sklepy. Bowiem przedsiębiorstwo wystąpiło do ministerstwa o utworzenie w jakimś punkcie eksperymentalnego, bo ajencyjnego sklepu typu kupno-sprzedaż. Cóż, eksperyment trwa — bo, właśnie mnie jego realizację zaproponowano, zbieram doświadczenia, choć naprawdę nie wiedziałem na początku, bo i skąd, jak małtkami handlować. Czyli uszeregujemy te sprawy, a już kogoś zainteresują: podstawa jest skup makulatury i szmat, a kupno-sprzedaż — to margines. Surowce ograniczyłem: przyjmuję tylko „dobre” szmaty czyli zużyta odzież, ale co najmniej z dodatkami naturalnych surowców (ortalionów i bi-storów nie biore), ale też dobrze płacę — nie 3 a 10 złotych za kilogram. Ponadto makulaturę za zbyt niską, niestety, jak na dzisiejsze warunki, cenę — 4 złote za kilogram. W zamian — pieniążki lub artykuły zamienne. Za prozackie szmaty klient może dostać u mnie: tkaniny, rajtuzy, „fajans”: (Włocławek również), bieliznę dziecięcą i nie tylko, artykuły gospodarstwa domowego i papier toaletowy. Ten rzeczywiście szeroki asortyment to załuga firmy — Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych.

— A w drugim sklepie mam odzież, obuwie (zatręsenie damskich i dziecięcych, męskich — brak), mały sprzęt radiowy i magnetofony, zabawki. Zasadą mam prostą — niskie ceny, minimum dwukrotnie niższe od bazarowych czy komisowych. Mam tu zresztą takiego bystrzego elektryka, który mi ten drobny sprzęt naprawia. U mnie takie radijki „Sokół” kosztuje 600 złotych, a dziecięce butki 140—200 złotych.

— Czasem sumienia nie mam jakichś książek na makulaturę przetrząsnąć. To i mam tu dwie półki książeczek, była i Mała Encyklopedia, był Dobraczyński, „Almanach literacki”, trochę niezłych kryminałów. Wiele z nich za przysłowiową złotówkę.

— Nie, nie tęsknię za deską projektanta, zmęczyła mnie ta życiowa niemożność, zresztą nie mam czasu o niej myśleć; o 6 godzinie pobudka, a potem przeciętnie 13 kolejnych na nogach. Ale to mimo wszystko duża frajda, a mam jeszcze ambicje i parę pomysłów. No, na przykład chciałbym wziąć cały oddział w ajencje. Na razie to tylko marzenie, ale kto wie, co będę robił za rok? Ja nie wiem. A można by wziąć jakiś zapuszczony oddział, w sumie kilka czy kilkanaście punktów, wprowadzić tam jakieś nowinki, zająć się również przetwórstwem, a nie tylko odstawianiem szmat i papierzysków. Może jakieś maszyny by trzeba skonstruować (to i wróciłbym do deski). Już ja bym to rozkręcił — musiałby to być najlepszy oddział na początku w województwie. Na razie tak kombinuję, ale jestem pewien, że tu się nie zagrzebie; spuścić zostawię i — do przodu!

— Naprawdę. Nie wiem, w co się jeszcze wdam. W jakich sprawach zacząć mieszzać. Ot, choćby Centrala Nasienna. Też chcę uaktywnić własne polećki i puścić na szerokie ajencyjne wody swoje punkty. A ja już mam pomysły: rozrysowałem jakieś fajne narzędzia czy proste maszyny dla działkowców, rzemieślnicy by wykonał i na działkach nie trzeba by korzystać wyłącznie z grabi i łopaty. Podpatrzyłem kiedyś takie niezawodne urządzenie do łapania kretów, też szłoby jak woda. A te punkty nie musiałyby być sezonowymi, wyłącznie nasionka sprzedawać. W okresach posuchy sprzedawać by tam można właśnie drobny sprzęt. Nie wiem, może ja się kiedyś za to rzeczywiście wezmę.

— Sprzęt zimowy, który tworzyłem wraz z kolegami w WUKO jeździ nadal, pracuje, spijuje się nieźle, ale jakoś nic nowego w tej branży nie widzę. Wie pan, ja zawsze rysowałem sam i rozpracowywałem temat również, by nikt nie pomyślał, że potem, jako kierownik, spijam tylko samą śmietanę. Publikacje? No było tego sporo mimo wszystko. Te dotyczące różnych ciekawych rozwiązań i konstrukcji znalazły się m. in. w czasopiśmie fachowym: „Technika motoryzacyjna”, „Motoryzacja”, „Biuletyn Informacyjny Zjednoczenia Przedsiębiorstw Surowców Wtórnych” i parę innych. Mówię „mimo wszystko”, bo wiem pisałem wtedy, gdy rzeczywiście był ciekawy, kontrowersyjny problem, gdy miałem coś ważnego do powiedzenia. Znałem i znam też etatowych „pisarzy”, co każda myśl, niekoniecznie złota, przelewają na papier.

— Tak, mam i świadectwo autorskie — wzór użytkowy nr 23467 z 75 roku na „Urządzenie do rozsypania środków chemicznych”. Prosta w sumie sprawa: urządzenie, które rozsypało tylko piach, po niewielkich próbkach skutecznie zaczęło dozować przepisowe 20 gram soli na metr kwadratowy. Jako ciekawostkę panu powiem, że sam patent przeszedł gładko, ale na wynagrodzenie czekałem 6 lat... Po prostu wykonywało to urządzenie przedsiębiorstwo we Wschowej, wykorzystywało mój pomysł w praktyce, a oficjalnie pisali, że go nie stosują. I tak sprawę wygrałem — musieli płacić odsetki, ale historia niezła, prawda?

Ech, jakich ja rzeczy nie robiłem! Już w branży szmacianej, jako kierownik pracowni konstrukcyjnej musiałem kiedyś zastępować służby techniczne, utrzymywania ruchu (inżynierów w szaki). W Międzyrzecz, w palni zyciwa, nie funkcjonowała taka przedpotopowa suszarka długości chyba ze 40 metrów. Nikt nie mógł dać sobie z nią rady, i co? Obraniak zostawił deskę, założył kask, a czworakach chodząc obejrzał tę ruinę, kazał wyciąć palnikiem całe wnętrze (została tylko skorupa) i na kolanie zaprojektowałem nową. Ba, palcem wskazałem gdzie kupić podzespoły i komu dać łapówkę i w trzy miesiące uruchomiłem suszarkę. Chodził jak złoto. A mnie nie chodziło o premie, które mi wszyscy przyrzekli, choć żadnej nie dostałem, po prostu pokazałem, że można jak się chce.

— I to już chyba z grubsza wszystko. Mogę jeszcze panu powiedzieć, że wśród naprawdę wartościowych ludzi, jakich spotykałem w moim życiu pierwsze miejsca zajmują: mój „pryncypał” w PL — prof. Jan Werner i dyrektor WUKO — Ryszard Pietrzak. O tych miłych, nijakich, bezwartościowych — nie piszmy, gdzie by pan to zmieścił...



Wszystko, co polskie, jest moje i niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim małego...

— Roman Dmowski — „Myśli nowoczesnego Polaka”

Uważano go za nieodrodne dziecko swojej klasy, chociaż nie jest to tak do końca oczywista sprawa. Był synem wywodzącego się z mazowieckiej szlachty podwarszawskiego brukarza, który pracą rąk własnych przedsiębiorstwa brukarskiego dorobił się. Rodzice matki, też ponoć ze zubożałej szlachty pochodzący, prowadzili zakład garbarski.

Urodzony w Kamieńsku koło Warszawy, 9 sierpnia 1864 roku Roman Dmowski wyrastał w atmosferze, która niewątpliwie musiała wpłynąć na kształtowanie się jego poglądów politycznych. Szlacheckie tradycje rodzinnego domu, mieszczańskie tego domu interesy i związane z nimi poglądy, powstanie repressji — wszystko to zrodziło w nim potrzebę walki o zachowanie narodowych tradycji przy utrzymaniu istniejącego układu klasowego.

Początkowo nieczym się nie wyróżniał, uczył się słabo, kilkakrotnie powtarzał klasy. Przemiana nastąpiła w piątej klasie gimnazjalnej, gdzie stał się uczniem pilnym, przejawiającym wybitne uzdolnienia humanistyczne. Podjął także działalność polityczną zakładając tajne kółko uczniowskie „Strażnica”, którego zadaniem było — jak pisał Ignacy Chrzanowski — „strzec czystości ducha polskiego przed rusyfikacją, a to za pomocą nauki języka polskiego, historii, geografii i literatury polskiej”.

Pisał także Dmowski rozprawki w szkołach warszawskich satyryczne wiersze, z których najgłośniejszy — „Dziesięciuro przykazania” — tak się kończył:

„Będziesz miłował wszystko co cię z grzechu myje

Wiec i bat. Całuj rękę, co tym bitem bije Młuj bliźniego swego donosząc na niego; Jeśliś się nie domosił, bieda będzie z tego; To za to ci powie, żeś blagonadziejny!”

W 1886 roku rozpoczął Roman Dmowski studiowanie nauk przyrodniczych na Wydziale fizyczno-matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Nie pasjonowała go ta dziedzina, ale uważał, że bez niej nie zdobędzie dobrego, ogólnego wykształcenia. Po pięciu latach studiów otrzymał stopień kandydata nauk przyrodniczych, odpowiadający stopniowi doktora nauk filozoficznych.

W okresie studiów podjął intensywną działalność polityczną. W 1877 roku wstąpił do zorganizowanej przez Ligę Polską tajnej organizacji — Związku Młodzieży Polskiej, stawiającej sobie za cel odzyskanie niepodległego państwa. Dmowski, jako główny środek dla uzyskania tego celu, widział uświadomienie odrębności narodowej najszerzym grupom społecznym oraz krzewienie wiedzy o przeszłości narodowej.

Był od początku zdeklarowanym przeciwnikiem socjalizmu. Marksistowska koncepcja podziałów klasowych i walki klasowej stanowiła zagrożenie dla klasy, z której się wywodził. Podjął więc na terenie Związku Młodzieży Polskiej walkę z działaczami socjalistycznymi, uniemożliwiając doprowadzenie do jakiegokolwiek kompromisu między ruchem narodowym a socjalistycznym wśród warszawskiej młodzieży.

W 1891 roku, w stulecie Konstytucji 3 Maja, zorganizował Roman Dmowski pochód studentów ulicami Warszawy. Była to pierwsza, wielka manifestacja w Warszawie po powstaniu 1863 roku. Uniknął aresztowania wyjeżdżając na kilka miesięcy do Paryża, gdzie uczęszczał na wykłady w Sorbonie i College de France. Po powrocie do kraju spędził pięć miesięcy w Cytadeli Warszawskiej, a następnie wydalono go z granic Kraju Prywiślańskiego, ograniczając możliwość miejsca pobytu. Jak twierdził później Roman Dmowski, pobyt w więzieniu zdecydował o tym, że rezygnując z kariery naukowej bez reszty poświęcił się polityce.

Jeszcze przed zapadnięciem wyroku, wypiszczonej za kaucją z Cytadeli, doprowadził do rozwiązania Ligi Polskiej i utworzenia nowej organizacji — Ligi Narodowej. W tym samym roku wydał broszurę „Nasz patriotyzm”, zawierającą program tej organizacji, a w nim postulat solidaryzmu narodowego. Jak stwierdził: „Każdy czym politycznym Polaka, bez względu na to gdzie jest dokonywany i przeciw komu skierowany, musi mieć na widoku interesy całego narodu...”

Niewątpliwie słuszne stanowisko w tej sprawie zaimuje Roman Wapiński, pisząc, iż sformułowany przez Dmowskiego w 1893 roku nakaz nadrzędności interesu całego narodu „w

sytuacji pełnej napięć i konfliktów społecznych... z natury rzeczy nie mógł już odgrywać postępowej roli. W tej płaszczyźnie solidaryzmu narodowy musiał odgrywać rolę ujemną, hamując proces kształtowania się odrębnych dążeń społecznych wśród mas ludowych”.

Dmowski w pełni uświadamiał sobie rosnącą siłę tych klas. W zamieszczonej w 1898 roku w „Kwartalniku naukowo-politycznym i społecznym” we Lwowie pracy „Ogólny rzut oka na sprawę polską w chwili obecnej” pisał: „Od lat dwudziestu rozwija się w Królestwie ruch robotniczy... a warstwa, której potrzeb jest wyrazem, liczebnością swoją nakazuje bardzo poważne traktowanie jej dążeń i aspiracji. Ruchu tego nie już nie powstrzyma i jakiegokolwiek będzie położenie polityczne kraju, nie nie zapobiegnie zajęciu przez klasę robotniczą stanowiska odpowiedniego jej liczebnej sile i znaczeniu społecznemu...”

Podjęciem walkę o wpływy w tej klasie, ustawił się Roman Dmowski programowo przeciwko ruchowi socjalistycznemu. Powstał więc i rozwijał się nacjonalizm — przytoczyć tu warto określenie Andrzeja Micewskiego — jako „alternatywa socjalizmu”.

Swoje poglądy i koncepcje polityczne przedstawiał Dmowski od 1895 roku na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego” — głównego organu Ligi Narodowej. Zespół redakcyjny stawiał jako cel przed sobą ukazanie społeczeństwu polskiemu drogi do odzyskania niepodległości i do budowy nowego państwa. Rozumiano przez to „jedność i samostojność polityczną narodu polskiego” oraz „odradzenie się w dobie obecnej sił politycznych narodu polskiego”.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Herold polskiego nacjonalizmu

go przez postęp kulturalny, uświadomienie narodowe i uobywatelenie warstw ludowych”.

Wykluczał Dmowski możliwości kolejnego powstania narodowego. Pisał w 1898 roku, że „W Polsce okres zbrojnych walk o niepodległość skończył się i dalsze jego trwanie jest niemożliwością, zarówno wobec zmiany charakteru samego społeczeństwa, jak wobec militarnego rozwoju wielkich mocarstw współczesnych”.

Z jego inicjatywy, w tzw. „Programie państwowym”, uchwalonym w 1903 roku na krakowskim zjeździe Ligi Narodowej, cele niepodległościowe sformułowano w sposób pośredni, jako „wydobycie ze swego narodu jak największych sił i wyrobienie w nim zdolności i cnót politycznych, niezbędnych do zapewnienia sobie lepszej przyszłości w wyższych formach samostojnego bytu politycznego...”

Stanowiło to zerwanie z tradycją porozbiciowych zrywów niepodległościowych, było próbą określenia własnej polityki narodowej.

Przełomowym dla rozwoju myśli politycznej Romana Dmowskiego stał się rok 1902, kiedy to na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego” zaczęła się ukazywać jego sztandarowa praca „Myśli nowoczesnego Polaka”, „Ich myślą przewodnią — pisał Ignacy Chrzanowski — jest postulat unowocześnienia polskiego charakteru narodowego... Myśl ta pozostaje w najściślejszym związku z poglądem, że charakter narodu nie jest niezmienny, że się wciąż rozwija. Polska upadła nie dlatego, że się jako naród zesterzała, ale dlatego, że się wykołosała w rozwoju”, a mianowicie w swoim przesadnym pedzie ogółu szlacheckiego do wolności, czyli w swym „monstrualnym liberalizmie politycznym”. Do tej kardynalnej wady charakteru polskiego przybyły po utracie niepodległości inne: zanik poczucia odpowiedzialności jednostki wobec ogółu, bierność, czyli propagowana przez różnych pozytywistów i postępowców „abstynencja polityczna — to dobrowolne kalectwo... największe bójki, jakimi zbiorowa dusza narodu może być poddana...”

Jest w „Myślach nowoczesnego Polaka” fragment przedstawiający taką oto wizję przyszłej niepodległej Polski:

„Naród — stwierdza R. Dmowski — jest niezbędną treścią moralną państwa, państwo zaś niezbędną formą polityczną narodu. Patriotyzmu główną podstawą jest niezależność od woli jednostki związek moralny z narodem, związek sprawujący, że jednostka zróżnieta przez pokolenia ze swym narodem, w pewnej

szerokiej sferze czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłuszna woli zbiorowej narodu.”

Naród nie składa się z równowartościowych pod względem narodowo-etycznym jednostek. W zależności od części kraju i jej historii, od pochodzenia jednostki i jej rodziny, ludzie czują się silniej lub słabiej związanymi z ojczyzną, posiadają silniejsze lub słabsze narodowe instynkty. Dlatego etyka narodowa nie pozwala dawać równego głosu w narodowych sprawach...”

Trafnie przedstawił „Myśli nowoczesnego Polaka” Andrzej Micewski, stwierdzając, że były one „dokumentem nowego, rodzącego się w Polsce nacjonalizmu mieszczańskiego, wyrastającego w polemice z ideologią socjalistyczną, z demokratycznym liberalizmem i tradycjami romantycznymi, a także z polityką upodową. W istniejących warunkach społecznych na ziemiach polskich „Myśli” stały się manifestem kierunku, który jawnie wchodził w rozbrat z postępem społecznym i rewindykacjami warstw upośledzonych”.

Już w 1904 roku, w wydanej we Lwowie pracy „Współczesne prądy umysłowe i polityczne”, poddał ostrej krytyce książkę Dmowskiego Ludwik Kulczycki: „Demokraci narodowi — pisał — są skądolnisi od innych konserwatystów, a nawet ugodowców. Ci bowiem występują otwarcie, natomiast tamci pod frazesami patriotycznymi i sztyldem demokratycznym ukrywają nienasycony nacjonalizm i zdradę interesów ludzi. Mówią wiele o pracy nad nim, ale praca ich w tym kierunku jest bardzo jednostronna; właściwie rozwijają oni w nim tylko szowinizm narodowy, utrwalają

tradycję, wzmacniają klerykalizm, natomiast pomijają zupełnie polityczne jego uświadomienie. Nie dość jest powiedzieć, że Moskale i Niemiec to wróg, trzeba jeszcze zapoznać lud z jego polityczno-społecznym położeniem, nauczyć bronić go swych interesów ekonomicznych, kulturalnych i politycznych, przygotować do odegrania samodzielnej roli politycznej...”

A Roman Dmowski konsekwentnie bronił pozycji polskich klas posiadających. W artykule napisanym w styczniu 1904 roku stwierdził, że „kierunek rozwoju ekonomicznego, jaki nadała Królestwu Polskiemu przynależność do państwa carów, sprawiła, że dziś pod względem przemysłowym i handlowym jesteśmy w znacznej mierze z tym państwem związani, od niego i od jego losów uzależnieni. Sprawia to, że znaczna część naszych kupców i przemysłowców czuje się u nas związaną z Rosją oraz w znacznym stopniu zainteresowaną w powodzeniach jej polityki zewnętrznej, jak np. w obecnym kryzysie na azjatyckim Wschodzie...”

A w rok później, w artykule „Nasze cele i nasze drogi” pisał: „nie moglibyśmy dziś traktować zdobywcę niepodległości jako celu konkretnego, nawet gdyby Rosja znalazła się w położeniu, pozwalającym na wszczęcie walki o zrzucenie jej panowania... Cel tedy konkretny, realny, w chwili obecnej może być tylko postawiony na tle przynależności ziem polskich do państwa rosyjskiego... Jako wyraz tych aspiracji kulturalno-narodowych staje przed nami jasny cel polityczny: szeroka autonomia Królestwa Polskiego...”

Gdy więc wybuchła wojna rosyjsko-japońska, Roman Dmowski, obawiając się, aby działacze niepodległościowi nie pozyskali sobie Japonii dla pomocy w ewentualnym czynnie zbrojnym, wyruszył do Tokio, gdzie konsekwentnie paraliżował zabiegi Józefa Piłsudskiego, starającego się zdobyć przychylność rządu japońskiego dla antyrosyjskich działań Polaków.

Ruch rewolucyjny 1905—1906 roku zwalczał Dmowski z całą bezwzględnością. W tym właśnie czasie powstały bojkoty, narodowe stosujące akty terroru wobec rewolucjonistów. Potępił także zdecydowanie strajk szkolny, wymierzony w rusyfikacyjną politykę caratu, wychodząc z założenia, że każdy strajk stanowi zło, a młodzieży nie należy wciągać do polityki. Ta argumentacja przysporzyła mu wielu przeciwników, także w samym ruchu narodowym.

W grudniu 1906 roku, w kilkanaście dni po zniesieniu stanu wojennego, odbył się w War-

szawie, pod przewodnictwem Romana Dmowskiego — zjazd chłopski. Jedną z uchwałowych rezolucji głosiła, że „lud chłopski stwierdza swoje przywiązanie do wiary świętej katolickiej, do swej ojczyzny polskiej i chce budować przyszłość kraju na zasadach narodowych i religijnych, przekazanych nam przez ojców naszych...”

To podkreślenie łączności zasad narodowych i katolickich konsekwentnie wprowadzano i do późniejszych programowych dokumentów ruchu narodowego.

Władze carskie, wydając w okresie represji porowolucyjnych zezwolenie na przeprowadzenie tego zjazdu, mającego wyraźnie polityczny charakter, niewątpliwie widziały w nim przeciwwagę dla socjalistycznych tendencji.

Rok 1907 rozpoczął kolejny etap w politycznym życiu Romana Dmowskiego. Wybrany do II Dumi jako przewodniczący Kola Polskiego, przyjął taktykę popierania spraw dotyczących międzynarodowej polityki Rosji, szczególnie gdy osłabiała to Niemcy, a jednocześnie prowadziło walkę o autonomię dla Królestwa.

W 1908 roku postanowił Dmowski włączyć się do ruchu neosłowiańskiego. Uważał, że w ten sposób sprawa polska może znaleźć się na forum europejskim, chciał, aby ludy słowiańskie stały się moralnymi sojusznikami Polaków, jednakże rząd carski, wykluczający możliwość autonomii Królestwa, nie dopuścił do tego.

Także w 1908 roku ukazała się książka Dmowskiego „Niemcy, Rosja i kwestia polska”. Miała ona — jak mówił sam autor — spełnić następujące zadania: „Przedstawić plany polityki berlińskiej i wzrost wpływów niemieckich w Europie środkowej i wschodniej i wykażać ich znaczenie dla rozwoju potęgi Niemiec, dać obraz współczesnego stanu kwestii polskiej, wydatnie jej znaczenia dla Niemiec i jej rolę w polityce berlińskiej; odświeżyć ujarznienie Austro-Węgier przez Niemcy i uzależnienie Rosji od nich, a w szczególności wydatnie się wpływow niemieckich w Petersburgu; wreszcie wykażać, że cała polityka Rosji względem Polski jest robotą dla Niemiec, umożliwiającą powodzenie ich wielkich planów...”

„Idea narodowa — pisał Dmowski w rozdziale „Polityka polska po upadku ostatniego powstania” — jest wytworem stuleci — jej istnienie nie jest zależne od woli jednostek, jej trwałość ma głębsze podstawy, niż trwałość programów politycznych, rządów i nawet ustrojów państwowych. Z jej istnieniem, jako z czynnikiem stałym, muszą się liczyć i kierownicy polityki narodu i państwa, w którym ten naród żyje. Zdrowa polityka polega nie na zdaniu, ażeby naród zmienił treść swego życia moralnego, swoje ideały, ale na dążeniu do stworzenia takich instytucji politycznych, w których potrzeby moralne narodu znajdą zaspokojenie...”

A w innym miejscu stwierdził: „Gdy obalenie rządu jest niemożliwe, a ten rząd nie chce pójść w kompromisie tak daleko, by oddać władzę prowadzącą i kontrolującą nad sobą w ręce parlamentu, pozostaje jedno wyjście — zwycięstwo rządu. Społeczeństwo bowiem długo nie może wytrzymać nadmiernej napięcia energii, jakiej walka rewolucyjna wymaga, i ustępuje. Ale zwycięstwo rządu nie jest zwycięstwem interesu państwa, i jako takie jest bardzo wątpliwe i krótkotrwałe”.

Stwierdzenia te — jakże sugestywne — nie znajdowały jednak pokrycia w politycznej działalności Romana Dmowskiego. Okres jego pobytu w II i III Dumie to przede wszystkim współdziałanie z caratem. Popierali go przedstawiciele klas posiadających, związani interesami z Rosją, natomiast szerokie masy społeczne nie akceptowały serwilistycznej postawy wobec abory.

Rozłam nastąpił i w samym ruchu narodowym. W roku 1907 wystąpił z Ligi Narodowej Związek Młodzieży Polskiej, a w rok później Narodowy Związek Robotniczy i kilkunastu liczących się działaczy ruchu. Do ostrego ataku na ugodową politykę Dmowskiego doszło w styczniu 1909 roku na Zjeździe w Warszawie. W rezultacie Roman Dmowski złożył mandat i wyjechał do Paryża.

W tym okresie wiele uwagi poświęcał kwestii żydowskiej. Podjął ten problem już w 1903 roku w swej pracy „Niemcy, Rosja a kwestia polska”, teraz jednak zaostrzył kurs, czego dowodem była broszura „Separatyzm Żydów i jego źródła”, stanowiąca wprowadzenie do antysemityzmu i prowadząca do wysunięcia hasła bojkotu gospodarczego Żydów.

Jeżeli wziąć pod uwagę, że udział Żydów w życiu gospodarczym Królestwa był rzeczywistie liczącym się, to antysemityczne poglądy Dmowskiego, jak zresztą wszystkie inne jego poglądy i działania, miały na celu zabezpieczenie interesu polskich klas posiadających.

Poważnym zagrożeniem dla koncepcji Romana Dmowskiego stała się, szczególnie od 1908 roku, działalność Polskiej Partii Socjalistycznej, tworzącej związki i organizacje z zażożeniem wystąpienia na wypadek wojny po stronie Austrii. W 1908 roku, po rozwiązaniu Organizacji Bojowej, powstał Związek Walki Czynnej, w 1910 roku we Lwowie Związek Strzelecki, w Krakowie — Strzelec, a dwa lata później Józef Piłsudski stanął na czele wspólnej Komendy Głównej. W tym samym czasie w Zakopanem zaczęto tworzyć Polski Sztab Wojskowy, a w Wiedniu powstała Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

Na kolejnych zjazdach Ligi Narodowej, w 1913 roku w Berlinie i w 1914 roku w Wiedniu, starał się Roman Dmowski przeforsować swoją koncepcję oparcia się o Rosję, spotkał się jednak w gronie członków Ligi z zastrzeżeniami, że społeczeństwo nie pogodzi się z tym, aby Polska znalazła się w jednym obozie z Rosją. Ostatecznie na zjeździe wiedeńskim zaakceptowano stanowisko bardziej kompromisowe — opowiedzenie się po stronie państw, które będą walczyły z Niemcami.

Wybuch I wojny światowej zapoczątkował kolejny ważny rozdział politycznej biografii Romana Dmowskiego.



Warszawa z początku naszego wieku.

„Rzymianie byli narodem najbardziej przesadnym” — twierdzi Dufour w swej „Historie de la Prostitution”, wydanej w Paryżu w 1851 r. I chyba nie mylił się, gdyż nawet obszerny „Astrolog rodzinny” („The Familiar Astrologer”), wydany w 1841 r. w Londynie przez „Raphaela”, który nazywał siebie „największym astrologiem XIX wieku”, nie zawiera tyle sposobów wróżenia i prognozowania o każdej porze dnia i przy każdej okoliczności: głośno wypowiedzianego błuznierstwa, skrzywienia łóżka, z nateżenia puszczanego baka w czasie uczty. „Wszyscy Rzymianie, od chłopca do starca, mężczyźni i kobiety, najchętniej jak i najgłupszy, jedni i drudzy byli nadzwyczaj uczuleni na wróżby i podporządkowywali wyniki wróżb najważniejsze, jak i najdrobniejsze czynności w życiu” — dalszy ciąg opinii autora „Dzieł prostytucji”.

Uchodziło za niepomyślną wróżbę, jeśli ktoś wymawiał

Jedynie w świątyni i w obliczu majestatu sądowego obowiązywał zakaz. W każdym innym miejscu, nie wyłączając posiłków, panowała pod tym względem absolutna swoboda. Za przykładem Egiptu także Rzymianie śmiało zaliczali do rodziny bóstw domowych (Lar) i którego drobne statuetki stawiano na biesiadnych stołach. Na ogół kobiety w tej materii mniej posiadały swobody.

Cóż bardziej prozaicznego od kichania? A przecież, gdy przysłuchamy się własnemu lub drugiej osoby kichnięciu, stwierdzimy, że się różnią. Jeżeli są więc różne, różności znaczące mogą. Zależnie od brzmienia: głośne, ciche, hamowane, żałosne, wesołe, komiczne, jednorazowe i wielokrotne. Kichanie poranne — zły prognostyk, wieczorne — przyjemna zapowiedź, nocne — najpomyślniejsza wróżba. Szczęście wielkie uśmiechnęło się do tego, kogo kichnięcie

na szwank narażona jest cnota ukochanej osoby. Dla miłości „dzwonienie w uszach” to niepomyślny prognostyk, wywołujący podejrzenia, niezgodę i zerwanie. Tiki, drgawki i nagłe odruchy należały do niepomyślnych zapowiedzi, tłumaczonych często jako dowód niewierności lub innego działania na szkodę miłości, podwójnie niebezpieczne, gdy ujawniły się po lewej stronie ciała, bowiem prawą stronę zawsze uznawano za przychylniejszą dla człowieka. „Także z obserwacji części wstydliwych, co zwykle czyniono w kąpielach, odczytywano różnego rodzaju doniosłości, które nie dadzą się powtórzyć” — tak kończy ten akapit Pierre Dufour.

Łóżko odgrywało ważną rolę w miłosnych wróżbach. Stawiano je przed drzwiami pokoju, aby utrudnić złym duchom wstęp. „Geniuszowym łożem” („lectus genialis”) zwano łożko, poświęcone temu opiekuńczemu bóstwu domowe-

żany wieniec, który uwila dopiero co prawą ręką; piąta obrywała i liczyła listki margerytki lub krzaku maku; szósta rzuciła cztery kostki do gry, licząc na szczęśliwy „rzut wenusowy”, tj. że każda kostka wykaże inną liczbę. Oczywiście pocięci piosenkarzy przekazali potomności wiele podobnych praktyk.

Prostytutka, która wychodząc uderzyła się o ramę drzwiową, albo gdy przekroczyła próg domu fałszywą nogą w drodze do miejsca pracy lub nawet na spacer, miała zepsuty cały dzień. Nikt jej nie namówił do wyjścia z domu tego dnia. Nie daj Boże przy rannym wstawaniu uderzyć się o łożko! Nie było innego wyjścia, jak jak najszybciej kłaść się znowu i cały dzień poświęcić na wymuszony odpoczynek. Kochankowie i prostytutki penetrowali z uwagą przebywaną trasę, bo każda napotkana na drodze żywa istota lub martwy przedmiot miał wpływ na losy człowieka i nieprzypadkowo znalazł się w pobliżu. Miały swoje znaczenie lot i krzyk ptaków, szum wiatru, kształt ehmur, pierwszy i ostatni napotkany przedmiot. Turkawka, gołąb, wróbel, gęś lub kuro-patwa, ptaki poświęcone Wenus i Priapowi, bogini miłości i bożkowi płodności, nie mogły bez związku przyczynowego zjawić się na planie osoby, zaangażowanej na co dzień w przeżyciach miłosnych. Czy lepiej w dzień, czy lepiej w nocy? O jakiej porze? Przy dobrych prognostykach życie musi się ułożyć jak najpomyślniej! Dobrą wróżbę widziano w przebiegającym psie, zwiastującym nieszczęście — w kocie. Czarny kot spotyka się i dzisiaj z ogólną niechęcią na drodze publicznej. Pewne przesady zakorzeniły się mocno w środowisku cór Koryntu, w całym rzymskim półświatku, gdy tymczasem poza nim nie zawsze były znane.

„Szczególnym misterium otoczone było dziewictwo kobiety” — pisze P. Dufour. Rozpustnych kandydatów „na pierwszego” nigdy nie brakowało nawet za bardzo wygórowaną cenę. Stręczytelki i stręczytele szukali lukratywnych interesów. Nie zawsze słowne zapewnienie wystarczyło. Odwoływano się wówczas do „wiarygodnego dowodu prawdy”, a należność składano do depozytu do czasu sprawdzenia wyników i pomiaru szczy. Powszechnie wierzono, że jednocześnie z utratą dziewictwa nabrzmiewa szyja. A więc wystarczy zmierzyć obwód szyi przed pierwszym stosunkiem i po, porównać wyniki i... sprawa załatwiona. Grubsza szyja — to dowód, że dziewictwo bezprzeznacznie istniało. Brak widocznej zmiany in plus nasuwał natychmiast wątpliwość. Zapewne wiele zależało od osoby, mierzącej nitką lub sznurkiem obwód szyi. Po konstatacji dziewictwa pomocny rekwizyt (mocna nić, sznurek, szpagat) wieszano w świątyni Fortuny Virginalis, pod którym to mieniem ukrywała się sama Wenus. Na ołtarzu Fortuny-Dziewicy składano także orzechy, nawiązując do starego obyczaju obrzucania orzechami sypialni nowożeńców. Katullus woła w poemacie weselnym: „Niewolniku, daj, daj dzieciom orzechy!” W bukolicach Wergiliusza żona prosi: „Małżonku, nie szczędź orzechów!” Orzech stał się alegorycznym symbolem małżeństwa. Starożytni Rzymianie kochali się w alegoriach.

Z nakładającymi się latami kurczyła się frekwencja gości. Wprawa w biegłej interpretacji losowych przypadków dawała rzymskiej kobiecie z półświatka możliwości utrzymania się na powierzchni. Przy wróżbach chodziło przecież najczęściej o to, czy kocha, czy nie kocha. W tej materii uważano kurtyzany zawsze za dość wiarygodne specjalistki. Zapewne dla przysporzenia powagi aktowi wróżenia i nadania mu cech działania sił nadprzyrodzonych posługiwały się różnorakimi chwytami. Jedną kładła szeroki liść na wpolzamkniętą pięść i „strzelała” uderzeniem ręki z góry; druga rzuciła liście laurowe na rozżarzone węgle i wsłuchiwała się w odgłosy spalania się, trzecia rzuciła ziarna owocowe lub zbożowe na sufit i tą drogą szukała potwierdzenia swego horoskopu; czwarta próbowała psuć lewą ręką ró-

Margines błędu czyli co mi się nie podoba

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Czytam wywiad z gwiazdą polskiej piosenki zamieszczony w „Expressie Ilustrowanym” nr 132 z dnia 16 września bieżącego roku. „5 minut z... Dzisiaj Sośnicką” (tutaj zaznaczam: wioleńka „5 minut z...” jest stała, stąd też nie jest niczym innym niż tytułem potwierdzenia, że prasowiński jer w pozycji mocnej miał prawo rozwinąć się w „ze”) przygotował specjalista od tego typu publikacji, nie wiec dziwnego, że poprowadzona w tempie rozmowa może zainteresować. Chociaż trochę śmiesznie brzmi wstępna informacja o tym, że piosenkarka „powróciła z kolejnych występów w USA, gdzie z ogromnym powodzeniem śpiewała w Nowym Jorku”, — a przecież zdawać trzeba sobie sprawę, iż nie były to koncerty w Madison Square Garden czy Metropolitan Opera, ani nawet — jak sądzić — na Broadway'u, ale prawdopodobnie w klubo-restauracjach polonijnych, gdzie udane śpiewanie bynajmniej ujmę nie przynosi, jednakże nie jest też powodem do mówienia o tym, jak o jakich oszałamiających sukcesach artystycznych. Specyficzny charakter ma również informacja o tym, że gwiazda spędzi urlop w dacy nad Pilicą — to trochę tak, jakbym ja któryś z felietonów zaczął od stwierdzenia, iż jestem posiadaczem czterech hektarów lasu w okolicach Łodzi. Ale nie będę się cepiał drobiazów.

Chodzi mi o sprawę poważniejszą. Oto bowiem na jedno z pytań Dzisiaj Sośnicka odpowiada dokładnie tak: „Za granicą płacę lepiej niż u nas, nie jest to tajemnica. U nas piosenkarze nadal nie otrzymują tantiem, czyli artysta dostaje tylko honorarium za nagranie, a autorzy za ilość powtórzeń, np. za nagranie piosenki „Dom który mam” otrzymałam 900 zł, a autorzy po kilkadziesiąt tysięcy”. Pomiędzy już w tych rozważaniach dość jaszkrawe przeciwstawianie „artystki” — „autorom”, podczas gdy obydwie profesje (piosenkarstwo i twórczość piosenkowa) są rzemiosłami artystycznymi. Przyjrzyjmy się jeszcze raz uważnie tej wypowiedzi.

To prawda, że piosenkarzom za granicą płacą lepiej, ale przyrównanie samych dochodów jest nieco karkołomne, bo cała struktura rozrywki jest za granicą po prostu inna. I — nim zaczyna się mówić o konkretnych zarobkach — zdaloby się porównać mechanizmy działające w przemyśle rozrywkowych innych krajów z naszą rodzimą show-manufakturą. Dopiero takie szerokie spojrzenie przynosi wiele wyjaśnień. Odpowiada też na pytanie, dlaczego tak trudno zostać gwiazdą w którymś z krajów Zachodu, a potem przez dłuższy czas utrzymać się na piedestale. Myślę, że doskonale wie o tym Dzisiaj Sośnicka nie mająca już dziś do nikogo pretensji o to, że nie zrobiła światowej kariery. Układ uwarunkowań nie był w jej wypadku korzystny.

To nie wszystko. W tym miejscu wynika kwestia tantiem dla wykonawców — problem niemożliwy i bardzo skomplikowany. Jednak we wspomnianym wywiadzie jest on nadzwyczaj prosty, nie rodzą się w związku z jego poruszeniem jakiegokolwiek wątpliwość. Dzisiaj Sośnicka kwituje całą sprawę następującym przykładem: „za nagranie piosenki „Dom który mam” otrzymałam 900 zł, a autorzy po kilkadziesiąt tysięcy”. Lecz jest to jedynie dość efektywnie brzmiąca półprawda. Po jej przeczytaniu wieksza gospodyni, u której przed laty wynajmowałem pokój podczas wakacji, powiedziała by z pewnością współczująco: „Biedulka z ty Sośnicki, te autory zabierają ci wszystkie pieniądze”. I, jak sądzić, nie ona jedna byłaby w błędzie. Spróbujmy wyjaśnić, jak to jest naprawdę.

Nie twierdzę, że honorarium pani Dzisiaj Sośnickiej za archiwalne nagranie radiowe tej dość starej stosunkowo piosenki jest sumą zanizoną. I dziś — mimo upływu lat — za zarejestrowanie w radiowym studiu jednej piosenki płaci się piosenkarzom kwoty mniej więcej zbliżone do tej podanej w wywiadzie. Ale, gdy już mamy być tak skrupulatni w obliczaniu dochodów z tytułu twórczości, badamy szczerzy do końca: autorzy piosenki „Dom który mam” — czyli, jeśli nie myli mnie pamięć, Marek Sewen (muzyka) i Jan Zalewski (tekst) — za jej nagranie dla radia zostali wynagrodzeni honorariami wcale nie wyższymi niż piosenkarka. Stało się tak na podstawie podpisania z nimi umowy o dzieło przez Radiokomitet. A tutaj obowiązują już określone stawki. Trudno jest mi przypomnieć, ile wynosiły one wtedy, gdy nagrywano „Dom który mam”, bo odległy to czas, ale z całą pewnością nie były one wyższe niż dzisiaj. Bowiem w tak zwanym międzyczasie przeprowadzono reformę mającą na celu ich podwyżkę. Zgodnie z obowiązującymi aktualnie przepisami (Rozporządzenie nr 9 Rady Ministrów z dnia 19 stycznia 1979 roku, załącznik 2, pozycja 8) wynagrodzenie za napisanie tekstu piosenki lub piosenki zamyka się w przedziale: od pięciuset do dwóch tysięcy złotych. Przy czym, jak wiem z autopsji, Polskie Radio wypłaca zazwyczaj kwoty w granicach 900—1300 złotych. Oczywiście, o ile w ogóle wypłaca. Regularnie przysyłam mi umowy ośrodki w Katowicach, Warszawie czy Poznaniu, tymczasem bynajmniej niechlubny wyjątek stanowi tutaj Łódź: owszem, nagrywają piosenki z moimi tekstami, ale o zapłacie należnego honorarium nie ma mowy. Sytuacja taka ciągnie się od wielu lat i niestety nie mogę się nadal dowiedzieć, dlaczego w gmachu przy ul. Narutowicza 130 obowiązują inne zasady niż w innych rozgłośniach na terenie całego kraju. Może ktoś kompetentny mi to wyjaśni? A swoją drogą najbardziej odpowiednim posunięciem z mojej strony byłoby przy aktualnym stanie rzeczy wystąpienie do sądu, gdyż zadłużenie łódzkiego radia wobec mnie wynosi już... kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Wróćmy jednak do sprawy zasadniczej. Honoraria autorskie kompozytorów z tytułu nagrania w radiu ich piosenki nie odlegają praktycznie od tych, jakie podałem w odniesieniu do autorów tekstów. Tak więc różni się z prawdą pani Sośnicka mówiąc w wywiadzie, że autorzy za — przypominać — nagranie ich piosenki otrzymują kilkudziesięciotysięczne sumy.

Albo byłoby chowaniem głowy w piasek nie pokazanie drugiej strony medalu. Tantiemy — jak już wielokrotnie pisałem w tym miejscu — są pewną prowizją od rozpowszechniania utworu, także na antenie. Bezpośredni zysk z tego mają kompozytor i autor tekstu, bo to w końcu ich piosenka, ale korzyści finansowe z faktu wykonywania przeboju odnosi również piosenkarz. Zresztą przykład utworu „Dom który mam” jest dosyć symptomatyczny: właśnie dzięki tej piosence Dzisiaj Sośnicka zyskała sobie popularność, zrobiła sobie nazwisko, co stało się furtką do kontynuowania kariery. Równocześnie estradowe zapotrzebowanie na kogoś, kto wykonuje aktualny przebieg, rośnie, i chciałbym — choć to niemożliwe — wiedzieć jak wielu widzów na koncertach Dzisiaj Sośnickiej przed iluś tam laty znalazło się właśnie dzięki tej piosence. Jak trudno w takiej sytuacji odpowiedzieć na pytanie, kto jest „lokomotywą” imprez?

Dzisiaj honorarium za jeden występ pani Sośnickiej wynosi kilka tysięcy złotych; autor czy kompozytor „Domu który mam”, jeśliby piosenka była na koncercie śpiewana, otrzymałby — co kiedyś tutaj wyliczyłem — każdorazowo nie więcej niż parę złotych. Wnioski nasuwają się same.

I jeszcze jedno wyjaśnienie. Lubię Dzisiaj Sośnicką i cenę jako piosenkarkę, stąd też nie miałbym powodu być złośliwym wobec jej wypowiedzi. Ale istotne w takich razach wydaje mi się kryterium prawdy, a w półprawdach, jakie zawierał wspomniany wywiad zwrócił moją uwagę zbyt duży margines błędu.

Opracowanie:
WŁADYSŁAW
LUBNAR

Przesady antycznych Rzymian

lub przysłuchiwał się sprostnym słowom. Patrycjusz i prostytutka jednakowo unikali wymawiania nieprzyzwoitych słów łacińskie przystawie głosi: „Nie o wszystkim, co można zrobić, można mówić” Cyceron: „Jeżeli słowa nawet nie cuchną, to przecież mogą boleśnie porazić”. Plautus w komedii „Casina”: „Wymawiać sprośne słowa znaczy tyle, co przynieść nieszczęście słuchaczowi”. Akcjusz w tragedii „Oenomaus”: Powiedzcie w mieście i na wsi, że wszyscy mieszkańcy, aby zapewnić sobie względy bogów za pomocą pomyślnych wróżb, winni unikać każdego bezwstydnego wyrażenia”.

Wykształciła się mowa na mig i owijanie rzeczy w bawelne. Nikt nie odważył się powiedzieć „nocnik” a lekarze o urynie mówili w sposób opisowy. Oddając mocz, uczestnik uczty nie czuł się skrępowany obecnością współbiesiadników, ale w potrzebie wskazywał niewolnikowi palcem odpowiednie naczynie. Nigdy nie nazywał go po imieniu. Dowiadujemy się od Juwenalisa, że wróżono z szumu uryny, spadającej do naczynia. Zastawiony stół lubiono zdobić posażkiem Herkulesa Urinatora, a wtedy wśród biesiadników znalazło się zawsze wiele amatorów urynowych wróżb. Na przebieg biesiadnej uroczystości wpływ mogło mieć „bękniecie” ważniejszego gościa albo czyjaś czkawka Istniało „odbijanie się” zwiastujące pomyślność, które sprawiało dobre samopoczucie i chęć do zabawy, i inne, niosące zapowiedzi nieszczęść, które mogły doprowadzić nawet do przerwania świątecznego obchodu.

Cyceron w listach do przyjaciół chwalił mądrość stoików, powtarzając za nimi, że nie należy przeszkadzać ujściu „wiatrów żółdkowych”. Niearomatyczne pierdnięcie na głos (przepraszam najmocniej Czytelniku) w uszach i nosie starożytnego Rzymianina nie uchodziło w żadnym przypadku za towarzyski skandal. Wstrzymywanie mogłoby zaszkodzić,

zaskoczyło w czasie miłosnego uścisku, jeżeli tylko pamiętał, by kichnąć na prawą stronę. Od tego momentu znalazł się pod życzliwą opieką bogini Wenus. Właśnie kichnięciem meldowała to kochankom.

Na zdrowie! Pomyślności! Kto kichnął przy zastawionym stole, tego bogowie mieli w swej opiece. Kontenci byli biesiadnikami, bowiem część łask spływała również na obecnych. Każde kichnięcie — to odwiedziły bożka-aniola stróża. Kichnięcie zwano także ptakiem Jupitera Konserwatora. Kichnąć trzy razy, albo w ogóle kichnąć nieparzystą ilość razy, stanowiło najpomyślniejszy prognostyk. Zdaniem ówczesnych, kichanie następowało z woli Geniusza, bóstwa opiekuńczego, które przewodziło umysł podopiecznego i zapragnęło odetchnąć świeżym powietrzem. Pallas Atena wyskoczyła z głowy Zeusa w pełnej zbroi. Pierwotnie zamierzała wykorzystać moment boskiego kichnięcia, ale zrezygnowała z gwałtownego środka Wenus tak dbała o swój zewnętrzny wygląd, że nigdy nie pozwoliła sobie na kichanie; mogłoby wywołać zmarszczkę lub faldkę na boskim obliczu. Właściwymi bożkami od kichania byli: Jupiter i Kybele. Najgłośniejsze kichanie — to najpomyślniejsze kichanie i konieczne ze zwrotem głowy w prawą stronę. W miłości kichanie było okolicznością wcale niebagatelną. Różnorakie kichanie dawało różnorakie szanse dalszym losom kochanków. Kobiety nie korzystały z dobrodziejstw kichania w równej mierze z mężczyznami. Dlatego starały się powstrzymać od niego. Zapewne także za przykładem Wenus, aby nie zaszkodzić gładkiemu licu.

Jeśli nam „dzwoni w uszach”, mówimy współcześnie, że ktoś nas obgaduje. Pliniusz również wypowiadał się wielokrotnie, że „dzwonienie w uszach” jest echem rozmów nieobecnych”. Bardzo wrażliwi na „dzwonienie w uszach” byli zazdrośni kochankowie. Wyobrażali sobie zaraz, że są oszukiwani w miłości, albo że

mu, ojcurozkozy. Geniusz władny był, zaopatrzony w odpowiedni sprzęt, każdą część łożka: z drzewa, metalu, kości słoniowej lub innego materiału. Pod ciężarem ludzkich ciał i ruchów łożko skrzypiało. „Ze skrzywienia tego mebla skonstruowano sobie formalną mowę ze szczególnym uwzględnieniem życia miłosnego” (P. Dufour). Przy opisie pewnej sceny miłosnej Katullus wprowadza do akcji wróbię, który stawia kochającej się parze horoskop na podstawie dochodzących dźwięków. Skrzywienie — to suma dźwięków, a każdy pojedynczy dźwięk przepowiadał pomyślnie lub niepomyślnie. Także na brak skrzywienia łożka należało zwracać uwagę.

Wróżono sobie z migotania światła. Zdarzało się nieraz, że równe światło lacywa nagle wybuchło jaśniejszym płomieniem. Możemy się przekonać o tym na naszych świecach. Właśnie w takim momencie kochanek czuł się najbardziej usatysfakcjonowany, bo mu „płomień jaśniej zabłyszczał”. Owidiusz twierdził w swych „Heroidach”, że płomień także kicha i że kichanie oznacza tylko najpożądane szczęście”.

Z nakładającymi się latami kurczyła się frekwencja gości. Wprawa w biegłej interpretacji losowych przypadków dawała rzymskiej kobiecie z półświatka możliwości utrzymania się na powierzchni. Przy wróżbach chodziło przecież najczęściej o to, czy kocha, czy nie kocha. W tej materii uważano kurtyzany zawsze za dość wiarygodne specjalistki. Zapewne dla przysporzenia powagi aktowi wróżenia i nadania mu cech działania sił nadprzyrodzonych posługiwały się różnorakimi chwytami. Jedną kładła szeroki liść na wpolzamkniętą pięść i „strzelała” uderzeniem ręki z góry; druga rzuciła liście laurowe na rozżarzone węgle i wsłuchiwała się w odgłosy spalania się, trzecia rzuciła ziarna owocowe lub zbożowe na sufit i tą drogą szukała potwierdzenia swego horoskopu; czwarta próbowała psuć lewą ręką ró-

DOBA KLĘSKI

Anno Domini 1204

LEON GOMOLICKI

1-3 — Dom dzieciństwa mojego był pełen, jak obfity koszar ogrodnika. Świeciło w nim słońce, śpiewały ptaki i sam Pan nieba i ziemi miał w nim pracownię, w której tworzył złote zwierzęta. Brał mnie na kolana, okrywając puszystą białą brodą przepaloną dymem wonnych kadzidel. Pozostał w pamięci jak malowidło pod kopułą soboru. Prawdopodobnie był to mój dziadek, sławny złotnik, który później zniknął z życia bez śladu. Kiedy podrosłem, dowiedziałem się, że został oczerniony przez zawistnych ludzi, oskarżony o sprzedaż przedmiotów pogańskiego kultu i na mocy wyroku trybunału świętego wywieziony z majątku i zamknięty w klasztorze o surowej regule. Ojciec mój, w obawie o podobne oszczerstwo, wyrzekł się fachu złotniczego. rzucił go do cechu platnerskiego i wkrótce zaczął odrabiać stracone. W rodzinie pozostał jednak na zawsze żył osad lęku i nienawiści. Tak już na samym początku naucono mnie miłości, która miała drugą twarz złowrogą i odpychającą. A właściwie uczono nienawiści przez miłość do swoich, reszta to byli znieprawieni i nienawidzący nas obcy — kacerze, Saraceni, latyniści. Bóg kazał miłować bliźnich, lecz człowiek odwiał od ziemna pojęcia bliźniego to plewy niewiernych, służących innym, wrogim nam bogom. A najgorszymi z najgorszych nieprzyjaciół byli ci nasi wrogowie, którzy zagrzeździł się wewnątrz murów Miasta. Korzystając z naszej gościnności pobudowali na naszej ziemi swoje domostwa. Pysnili się obcy nam zb. tkłiem, umacniali swoje wpływy, podważali nasz handel i masę rzemiosła. Było to gniazdo szpiegów, zarzewie zdrady i niepokoju. Nikt nie szanował tych ludzi, różniących się kusym ubiorem i butną postawą. Ich daleka metropolia spod znaku skrzydlatego Iwa świętego Marka, symbolu żywiołu ognia, panowała nad żywiołem wodnym, jej potężna flota zagrażała morzom, a potęgę jej wspierała dyplomacja tak wiadomo i przebiegła, że świat powinien wolać ostrzegając narody: miejcie otwarte oczy, patrzcie i uczcie się, jak prowadzić nieczystą grę, tasując znaczone karty. Jak trzydzieści tysięcy obcego chłopca, wyprawionych przeciwko niewiernym Saracenom, skierować w przeciwną stronę, na północ i ich rękoma zniszczyć dwa chrześcijańskie miasta, dwóch swoich niebezpiecznych rywali, a wykorzystawszy wszystkich oszukać i wziąć sobie Iwią część rabunku. Ojciec mój wykulał miecze do walki otwartej, nie wiedząc że wróg już od dawna szykował broń podstępny i wiarołomstwa. Broń, która zniszczyła nasze wielkie, bogate i piękne Miasto.

4 Bardzo lubiłem moje Miasto. Użyłem czasu przeszłego: lubiłem i zastanawiam się, czy słusznie. Ależ tak, bo ja jeszcze żyję pamięcią, gdy ono zostało zamordowane, wyplądrowane i spalone, straciwszy swoją siawę i wolność. I kto uwierzy, że zrobili to nie barbarzyńcy, nie wyznawcy Islamu, lecz rycerze ze znakiem świętego krzyża na zbroi! Było piękne. Otoczone niespokojnym błękitem morza, o zachodzie słońca iskrzyli się czerwonym złotem krzyży swoich trzydziestu świątyni. Kiedy przyjechał wuj szukając u bliskich schronienia z innymi rozbitekami z Zary, poszedłem oprowadzić go po Mieście, które sypnęło na całym świecie ze swego bogactwa. Szliśmy mijając handlową dzielnicę, kramy kupców i warsztaty rzemieślników. Było tu tłoczno i gwaro. Przed nami otoczony murami wznosił się jak biały gołąb Akropol. Forum Konstantyna było tak rozległe, że wydawało się wyludnione. Marmurowe arkady i portyki otaczały jego owalną misę: ażurowa bransoletka spięta czworokątną kłamrą soboru Najświętszej Marii Panny. Koronkowa biel otoczenia oślepiała w pełni słońca. Boże, piszę o słońcu, gdy teraz dokoła panuje mrok. A piękno? Co pozostało po nim? Wszystko strawił ogień, ostała jedynie porfirowa kolumna wśród zwałów wapna, w które zamieniły się marmury. Ale wtedy zatrzymaliśmy się, aby podziwiać otaczającą nas harmonię architektoniczną. Podprowadziłem wujka pod spiżowe posągi Hery i Parysa, potem przeszliśmy na hipodrom, gdzie zwałowała się łuna słynna złota kolumna. Hipodrom był pusty. Na dole ćwiczyła grupa lekkoatletów. Nad rzędami amfiteatru na murach stały spiżowe grupy obrazujące walkę ludzi i zwierząt: Iwa z orłem, hipopotama z krokodylem. Chciałem jeszcze pokazać wujowi piramidę z chorągiewką na szczycie w postaci posążka kobiety wskazującej kierunek wiatru. Albo też inne cuda na wieki teraz utracone, które posiadało Miasto. — posąg śledzący w zadumie Heraklesa takiej wielkości, że obwód jego palca na nodze równa się grubości średniej tuszy człowieka, grupę poganiacza osła, którego spotkał August przed zwycięstwem pod Akcjum, wreszcie boskie oblicze marmurowej Heleny, tak pięknej, że oglądający pałali do niej miłością. Ale musieliśmy przejść obok dzelnicy Wenecjan i wuj na widok tych ludzi stracił ochotę do podziwiania. Ostatecznie weszliśmy na mury miasta w pobliżu portu i patrzyliśmy, jak głęboko pod nami pieni się morze uderzając o nagromadzone głazy. Chłopcy z krzykiem i śmiechem walczyli prześląc się z napływem fal i jakaś parka kryła się między kamieniami w miłosnym uścisku.

5 W tym miejscu nie tak dawno spotkałem anioła. Nie miał skrzydeł wprawdzie, ale stał wysoko na murze w białym długim chitonie i karmił z ręki mewy. Wiatr mierzwił mu włosy, a ptaki siadały na jego ramionach. Ptak to

stworzenie płochliwe, nieufne człowiekowi, a zwłaszcza ptak dziki i stąd moje przekonanie, że nie mogła to być zwykła śmiertelna istota. Zatrzymałem się wpatrzony, ona zaś, widząc mój podziw, powiedziała: czy czegoś życzysz sobie, chłopcze? Nie mam innych życzeń, prócz jednego, odpowiedziałem, chcę tylko patrzeć na ciebie, bo pierwszy raz doznałem łaski ujżenia za życia anioła, dotąd oglądałem duchy tylko na świętych obrazach i malowidłach na ścianach świątyni. Wtedy odrzekła z uśmiechem: nie jestem aniołem, mylisz się, mam na imię Ruth, a mój ojciec w pobliżu waszego domu założył swój kram z dywanami, widziałam cię już nieraz, ale odeszły teraz, pioszysz mi ptaki. Oddaliłem się nie mając pewności, czy te słowa nie są wprowadzeniem na myślny ślad celem upozorowania poposłitości w niezwykłym. Nie przypomniałem sobie, żebym dostrzegł kiedyś dziewczynę w kramiku sąsiada. Nie mając z kim podzielić się moją wątpliwością, byłbym już wtedy zwierzył się z niej wujowi. Miejsce sprzyjało wspomnieniu, ale wuj myślał był daleko, pełen gorzkich doświadczeń.

6 A oto opowiadanie wuja, które zaczynał od przypomnienia sobie pogodnych dni ubiegłej jesieni w Zarze. Do samych Zaduszek panował upał. Dzieci na gołosa bawiły się na ulicach. Potem wiatr nawiał ulewę i zaczął się sztorm. Zimne upusty z nieba i słońca piana przerzucana przez mury miasta. Gdy ucichło i ludzie wyszli popatrzeć na morze, zobaczyli pierwsze zbliżające się okręty. Za nimi z powierzchni wodnej wyrastały coraz nowe żagle. Gdy dostatecznie zbliżyły się, rozpoznano barwy floty weneckiej. Miasto przejęła zgroza. Aby uwolnić się od uciążliwych rządów Wenecjan, Zara dobrowolnie poddała się królówi węgierskiemu i teraz rozumiano, że zdradzący lew wenecki nie daruje wyrwanego mu z łap łakomego kęsa. Garnizon węgierski był słabą obroną miasta. Bronili go natomiast wyspy, odgradzające tu brzeg od otwartego morza. Pasma podłużnych wysp, podobnych do wystających z wody grzbietów wielorybów. Ale Wenecjanie dobrze znali te miejsca ich handlowych szlaków. Okręty prowadzone ręką doświadczonych kapitanów, omijając mierzliwy i skały podwodne, podplinyły tak blisko, że można już było rozpoznać ludzi na ich pokładach. Nie byli to wcale żołnierze weneccy, lecz obcy rycerze. Przypłynęli na statkach weneckich i zamiary ich nie były przyjazne dla Zary. Stali tworząc osłonę ze złoczonych tarczy, na których mieniły się w słońcu wielkie, białe krzyże. Znak miłości dla swoich i bezwzględnej nienawiści dla obcych. Symbol krucyfiksu Pańskiego i znak krucjaty przeciwko niewiernym. Czemuż przybywali tu opancerzeni, z bronią wymierzoną przeciwko miastu, które wyznawało tę samą wiarę chrześcijańską i było wierne papieżowi? Aby emblemat miłości zamienić w złowrogi znak zagłady? Na sygnały powitania podawane z murów, najbliższy okręt wyrzucił migotliwą chmurkę furkocących w powietrzu strzał. Zaczęło się oblężenie.

7 Oblężenie trwało dwa tygodnie. Zara rozpaczała się bronią. Położona na wąskim cypiu, była z trzech stron otoczona zatoką morską. Czwarła strona, wspierana podwójnym murem, stała nowiła najsłabszy punkt obrony. Tam atakujący rycerze, zająwszy brzeg, podciągnęli tarany i miotacze ognia. Wybuchy pożary. Miasto zamieniło się w pułapkę. Po wyczerpaniu zapasów żywności i wody, musieli się poddać. Ogień strawił powowę najgęściej zaludnionych dzielnic. Pogorzeli stoczyli się na starym rzymskim forum. Niektórzy schronili się w murach świątyni Donata, ale bliskość ołtarza i relikwi nie obroniła ich. Przeciwnie, zdobywcy rabując święty sprzęt liturgiczny i właśnie w poszukiwaniu cudotwórczych relikwi, wtargnęli do katedry i tu nie oszczędzono nikogo. Kaluże krwi sięgały po kostki. Oprawcy szukając łupu rozpruwali zabitym brzuchy grzebiąc we wnętrznościach — może ktoś, aby ukryć, pokłnął pierścionek, monety, czy szlachetny kamień. Próbowano ratować się skacząc z murów na przybrzeżne głazy. Rozjuszony zwycięzca, rabując co się tylko dało, mordując dzieci i starców, wprowadzał w niewolę łosy kobiety i mężczyzn, w sile wieku. Takie były losy pięknego, zaskoczonego w swoim pokojowym byciu miasta Zary.

8 Wuj uratowało to, że w przeddzień napaści wybrał się na ślub swojej siostrzenicy. Wolałby wprawdzie pozostać w domu, w spokoju i cieple. Gwałtowne zmiany pogody odnowiły zastarzałe bóle stawów. Ale wśród gości ślubnych był najbliższym krewnym i w końcu namówiono go. Uroczystość odbyła się w pobliskiej wiosce. Z miasta wyszli rozbawiona grupa, popędzając osła obciążonego ślubnymi prezentami i tym, co zawsze może przydać się w drodze. Pozejmowali sandały i ciepłe okrycia, bo znów się wypogodziło — słońce w południe zaczęło prażyć. W drodze plotkowano i śpiewano. Spodziewano się wesołej zabawy. Wesele istotnie wypadło hucznie. Trzeciej doby, kiedy już wszyscy byli zmęczeni, przejeździł i opicy, wybuchła wiadomość: Zara się pali. Nad ziemią kiebiła się chmura, migotliwie oświetlana płomieniem. Wszyscy pobiegli na wzgórze, skąd było widać daleki pas morza i znajomy cypel. Kiedy spłoszeni zaranie wracając stanęli na ła-

godnym wzniesieniu brzegu nad miastem, zobaczyli na dole postacie rycerzy w kolczugach — z odległości wyglądały jak mszyca, która obsiadła gałąź usychającego krzewu. Ich dźwięki głosy zlewały się w obcy gwar, na tle zawodzących kobiecych krzyków i odgłosów pożaru. Wuj był tak nieświadom własnego niebezpieczeństwa, że zbliżył się do rosnącego Szwaba i usiłował wypytwać go, jaką drogą może dostać się do miasta. Szwab nic nie rozumiał, co odświergotał po swojemu i poklepał ciężką ręką po plecach. Wziął go za chłopca z sąsiedniej wsi. Z szerokim uśmiechem na czerwonej twarzy wskazał na odgródzone miejsce. Był to zagon owczarzy, zamieniony w obóz dla uprowadzonych do niewoli zaran. Miejsce było strzeżone, lecz sąsiednim chłopom nie zabraniano rzucać za ogrodzenie chleba i sera dla więzionych. Od nich dowiadrywano się szczegółów okropności, które się działy w zdobytym mieście. Prerażony wuj udał się, jak stał, w daleką wędrowną, aby schronić się w naszym domu. Inni rozbitekowie z Zary szli w tymże kierunku naszego Miasta bezładnym tłumem. Łączyło ich zagrożenie na niebezpiecznej drodze, pełnej zasadzek zbójów i korsarzy. Po nocach budziło ich wycie hien. Ratowali się przed dzikimi zwierzętami rozpalając ogniska. Szukali kryjówek w grotach i opuszczonych ruinach dawnych pogańskich świątyni, gdzie gnieździły się erynie i jadowite żmije. Wuj był przekonany, że jeszcze nikomu nigdy nie dane było przeżyć nic bardziej przerażającego. Na moje powątpiewanie, co by mieli obcy rycerze do zaran, udając się na wyprawę przeciwko niewiernym, wuj niecierpliwie kreślił głową. To są Frankowie i Germani, mówił, widziałem ich z bliska. Są rośli i brutalni. Sam papież podobno potępił ich za to, co zrobili z nami, a zostali namówieni do tego przez Wenecjan, którzy dobrze zapłacili im nami. Jeszcze nie rozumiesz? Oni przyjdą i tu, strzeżcie się, ostrzegali, a wszyscy wzruszali ramionami i odchodzili z uśmiechem.

9 Ale wuj miał rację, jak Kasandra, która na próżno ostrzegała Trojan. Nie było granic zaborczości i przebiegłości Wenecjan. Nie ponosząc żadnych trudów rozprawili się z Zarą. Po tej udanej próbie nadarzała się okazja zakończenia zadawnionego sporu z nami. Było ich tu pełno. Miasto wyznaczyło całą dzielnicę dla ich handlarzy i giełdżarzy, przylegającą do dzielnicy sprzymierzonych z nami Genuńczyków. To byli nasi wewnętrzni wrogowie, szpiegdy i szkodnicy niszczący nasz handel i nasze rzemiosło. Bo to nie była rywalizacja, to był rozbiór i podstęp. Ludzie ci nosili się butnie, wyzywająco. Mieli wszystko odrębne: ubiór, język, sposób bycia, zasady, wiarę. Nienawidzono ich. Już nieraz tłum wdierał się do ich dzielnic, demolował i palił ich luksusowe domostwa. Nie bez tego, że motłoch korzystając z zamieszania dopuszczał się rabunku, gwałtów i morderstw. Czyniono to w pewności, że wenecki lew ma swoje legowisko daleko, a on to wszystko sumował w pamięci i szykował się do niespodziewanego skoku. A wiele składało się przeciwko nam, nawet najkorzystniejsze zdawałoby się dla nas poczynania. Pamiętam wielkie uroczystości, kiedy naszą księżniczkę wydano za króla Szwabii. Cieszyliśmy się, że zyskujemy potężnego sojusznika przeciw zaborczości latynistów. Wtedy, a było to dla mnie wrażenie z dzieciństwa, na placach miasta wystawiano kolorowe namioty z cesarskiej purpury, w których rozdawano słodycze. W nocy płonęły znicze i pochodnie. Tłum witał posłów szwabskich. Przepych cudzoziemskich strojów mienił się barwami i złotem nad głowami wiatujących, konie wysokich gości były okryte brokatowymi opoczniami. Ale los drwi z ludzkich poczynania. To, co mający jako zbawienie, obraca na zgubę. Mówi się, że ślepy jest los, gdy ślepy jest człowiek: błądzi w labiryncie, z którego jest jedyne wyjście, niweczając wszystkie nadzieje. Czy mam tu mówić, jak wszystko obróciło się przeciwko nam? Ci, co przeżyli, mają to wyrzute w pamięci, dla potomnych kolejność wypadków zachowują kroniki. A mówiąc w skrócie, było to tak, że młodszy brat naszego cesarza miał umysł majtki, który siłą usuwa kapitana, aby zawiadzał kosztownym ładunkiem statku. Ale nie umie posługiwać się sterem i statek rozbija się o podwodne skały, a on sam ginie w żywiole morza. Przypowieśćka jak najbardziej pasuje do naszych dzieł. Uzurpator tronu oślepił swego brata, pracowitego władce i wtrąca do lochów twierdzy wraz z jego synem, swoim bratanikiem. Podsyca to polityczna intryga. Wenecjanie przekupują straż, aby uwolnić królewicza, który ucieka do swojej siostry, małżonki króla Szwabii. Domowi niewygodnego sąsiada grozi rodzinna kłótnia, którą można przyspieszyć, a przy tym usmażyć własną pieczeń na cudzym ogniu. Flota wenecka z rycerzami krucjaty, w połowie podwładnymi króla Szwabii, którzy zamienili się w najemne wojsko, okrąży Peloponez i kieruje się w stronę naszego Miasta. Zbiegły królewicz rodzi rycerzom na piśmie zobowiązania żołdowe, licząc na zdobycie ichże rękoma skarbu.

10 Jakis czas w warsztacie mego ojca pracował młody Genuńczyk. Miał na imię Giulio. Przywędrował do Miasta w nadziei na łatwiejsze zarobki przy poparciu swoich zamożnych rodaków. Ale byli to kupcy, którzy dorobili się majątków dzięki zasadzie: nic nie robić, co nie da ci zysku. W ich domach mógł liczyć najwyżej na rolę pacholka. Ojciec przyjął go i nauczył rzemiosła. Giulio założył własny warsztat w dzielnicy Genuńczyków, lecz nie zapomniał okazałej mu życzliwości i pozostał w bliskich stosunkach z naszą rodziną. Ojciec tłumaczył jego przyjaźń niewygasłym uczuciem wdzięczności. Ale wdzięczność wdzięcznością, a była również, jak ja podejrzewałem, i inna przyczyna nieustających kontaktów Giulio z naszym domem. Ten mocno zbudowany i nieokrzesany latynista miał serce wrażliwe i był od dawna nieśmiało i bez nadziei wzajemności zakochany w mojej siostrze. Prudencja nosiła się dumnie i uważała każdego nie-Greka za barbarzyńcę. Niepotrzebnie zwierzyłem się wujaszce, szukając przyznania. Wujaszek okazał się wścibski. Zaczął dochodzić, co to za dziewczyna kramarza z sąsiedztwa. Mógł to robić na własną rękę, ale miejsce było dla niego obce i postanowił wprowadzić w to moją siostrę. A tamta, dowiedziawszy się zaprosiła mnie na rozmowę. Zaczęła od tego, że ma nade mną przewagę lat, i zastępuje mi nieżyjącą już matkę, zaś troska o mnie podpowiada jej słowa ostrzegawcze. Są

to ludzie obcego nam plemienia, pochodzą z Judei, żyją obok, lecz poza kręgiem naszego życia. Wiara, obyczaje, otoczenie — wszystko nas od nich dzieli. Zajmują się drobnym handlem, pogardzanym przez stan kupiecki i rzemieślników. A i sama dziewczyna jest o wiele ode mnie starsza i musi być rozpuszta i przebiegła, skoro uwodził takiego niedoświadczzonego chłopca.

11 Zakłopotany słuchałem w milczeniu, a gdybym nawet usiłował coś tłumaczyć, siostra nie dałaby mi dojść do słowa. To że stanąłem w pąsach ze spuszczonej oczami, tylko potwierdziło w jej oczach moją winę. W rzeczywistości zaś wymówki Prudencji były dla mnie objawieniem. Do tej pory Ruth istniała dla mnie jako zjawia z murów Miasta, otoczona skrzydlatą opieką ptaków. Właśnie Prudencja sprowadzała niebiański obraz na ziemię. Nigdy do tamtej pory nie myślałem o kobiecie w moim życiu. Teraz bezwiednie zacząłem krążyć wieczorami w pobliżu biednej chałupiny sąsiadów. Okna mieli niczym nie zasłonięte, jakby dowodząc przechodniom, że nie mają nic do ukrycia. Mogłem dowolnie podglądać ich monotonne życie. Po skąpym posiłku starzec zasiadał przy migotliwym oświetleniu świec przed otwartą księgą i kiwał się do taktu szepczących wersełów. Cień dziewczyny z rzadka przesuwiał się na białym tle ściany, i tylko raz idąc do snu w samej koszuli, Ruth doszła do okna zasłaniając przezroczyście dłońmi świecę i chwilę wpatrywała się w mrok ulicy, jakby wyczuwając moją bliską obecność. Tej nocy długo krążyłem po pustych placach, a w domu nie mogłem zasnąć. Na murach Miasta nawoływali się wartownicy i jakiś ptak powtarzał kilka nut i urywał na najwyższej, jak flecista ćwiczący nową melodię. Nocny czas upływał w naszeptach ciszy i za wszystkim czaiła się dla mnie przez niego nie spozostregana tajemnica. Wiedziałem, że tak nie może trwać dłużej. Że muszę przełamać niepewność, muszę jakoś przerwąć swoje niezdeterminowanie. A nad ranem przyszedł do ojca Giulio, zakłopotany, aby uprzedzić o grożącym nam wszystkim niebezpieczeństwie. Pełen wiasnej rozterki słuchałem nieuwzięnie.

12 Rybacy widzieli na pełnym morzu wielką flotę. Nie mogli zliczyć okrętów, które szły pod pełnymi żaglami. Wiatr im sprzyjał. Wyrastały z powierzchni morza jak gradowa chmura. W dzielnicy Wenecjan mówiono, że to rycerze germańscy płyną prowadzeni przez skrzywdzonego królewicza. Rycerze spala Miasto i posadzą na tronie królewicza, który przechrzcił się na wiarę łacińską i każe wszystkim zrobić to samo. Takie były wiadomości Giulio. Wuj zarazem radził czym prędzej wynieść się z Miasta, gdziekolwiek aby poza jego mury, obładowawszy osła najcenniejszym z naszego dobytku. Prudencja w zapale twierdziła, że to nie Zara, że ta cała ich flota zostanie spalona, a rycerze usmażą się w swojej zbroi jak żółwie w ogniu. Ojciec mówił o pospolitym ruszeniu i ostrzeniu mieczy. Ja zaś korzystając z zamieszania wymknąłem się niepostrzeżenie, w nadziei że spotkam Ruth. A gdy niespodziewanie ją spotkałem, naprawdę zmieszanie moje było tak wielkie, że odjęło mi mowę. Już usunąłem się w cień i gdyby nie spozostregawczość i delikatna rozwaga tej niezwyklej dziewczyny, nigdy by nie między nami nie zaszło. To ona pokierowała nami z mądrą wstrzeźliwością. Znalazłem w niej naprawdę starszą siostrę. Posiadała dużą wiedzę i nie była zasklepiona w żadnym zaścianku wiar i przesądów. Jeśli coś wiem i czymś jestem, zawdzięczać to naszej lekliwie kryjącej się przed oczyma światła przyjaźni. Obawa zrozumiała.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Pierwszego dnia Roku Panskiego, gdy Cezar August nakazał przeprowadzenie spisu powszechnego na całym świecie, ludność naszego globu liczyła prawdopodobnie około 250 milionów.

Pierwszego dnia Wielkiej Rewolucji Francuskiej (w 1789 roku) na Ziemi zamieszkiwało około 750 milionów ludzi. Od tego czasu do dziś populacja planety wzrosła sześciokrotnie i liczy ponad 4,6 miliarda.

Jak będzie dalej? Obserwowana w ostatnich latach tendencja zmniejszania się wzrostu zaludnienia stała się wystarczająco jasna, aby można twierdzić, że kasandryczne przepowiednie z lat ubiegłych nie pokrywają się z prawdą. Wzrost populacji, według ekspertów, minął już punkt szczytowy i są podstawy do twierdzenia, że „bomba demograficzna” została rozbrojona.

CZY WINNA MEDYCYNĄ

Podbój planety przez człowieka dokonał się właściwie za życia obecnej generacji. Pierwszy miliard Ziemia osiągnęła dopiero w połowie ubiegłego wieku, zaś drugi, trzeci i czwarty miliard przypadają na bieżące stulecie.

W ciągu minionych tysiącleci ludność świata powiększała się w sposób niezwykle powolny, mniej więcej w tempie 0,5 proc. rocznie. W okresie od Greków do Ludwika XIV cała ludność liczyła mniej więcej tyle co współczesne Chiny.

Raptowne przyspieszenie tempa wzrostu populacji obserwuje się dopiero w wieku XVIII, gdy ustąpiły wielkie klęski głodu i gdy opanoowano najgroźniejsze epidemie. Znamienne jest, że lepsze były warunki sanitarne w Rzymie w pierwszym roku naszej ery — Rzym jako miasto liczył już wówczas ponad milion mieszkańców — niż w Europie do końca XVII wieku. Milionowe miasto Londyn wyrosło na naszym kontynencie dopiero w roku 1800. Wcześniej istnienie takiej aglomeracji było niemożliwe: niski standard sanitarny, słaba ochrona przed zarazą oraz trudności z utrzymaniem ładu i porządku publicznego narażały ludność na poważne niebezpieczeństwa.

Medycyna więc, w połączeniu z poprawą warunków materialnych, odgrywała rolę czynnika decydującego o dalszym przyroście ludności. Ba, wyraźny jest związek odkrycia i stosowania niektórych „uniwersalnych” leków ze wzrostem krzywej populacji. Tak na przykład wprowadzenie w latach trzydziestych naszego stulecia sulfamidów (spowodowały ograniczenie chorób zakaźnych), a później antybiotyków, wyraźnie wpłynęło na zwiększenie liczby ludności planety.

Wbrew jednak temu co powszechnie się sądzi, gwałtowny przyrost zaludnienia ma swe źródło nie w zwiększaniu przeciętnej liczebności rodzin (choć jest to czynnik istotny), ale w poważnym zmniejszeniu śmiertelności, zwłaszcza śmiertelności niemowląt. Innymi słowy nawet w takim kraju, w którym od dziesięcioleci notuje się jednakową liczbę urodzin, ludność będzie się powiększać proporcjonalnie do średniej długowieczności. Ale też dodać trzeba, że obecnie ludzie nie umierają w późniejszym wieku — wzrost przeciętnej długowieczności wskazuje tylko na to, że we współczesnych nam czasach większa liczba ludzi osiąga późny wiek naturalnej starości.

Biorąc właśnie pod uwagę różną przeciętną długowieczność w różnych krajach i na różnych kontynentach, można twierdzić, że naturalne wydłużanie się życia dużego odsetka mieszkańców ziemi będzie w olbrzymim stopniu wpływać na przyrost zaludnienia. O realności tych założeń świadczy choćby fakt istnienia następujących dysproporcji: W Szwecji mężczyźni przeciętnie żyją 73 lata, a kobiety 78 lat, podczas gdy w Indiach średnio mężczyźni dożywają 42 lat, a kobiety — 41 lat.

Ludność planety będzie więc gwałtownie się starzeć. Demografowie szacują, że liczba sześćdziesięciolatków wynosząca w r. 1970 — 304 miliony, do roku 2000 zwiększy się dwukrotnie: będzie to rezultat wyżu demograficznego z lat pięćdziesiątych i oczywiście wydłużenia się przeciętnej długości życia. W niektórych krajach prowadzi się w tej dziedzinie bardzo dokładne badania, których celem jest kształtowanie odpowiedniej polityki socjalnej. I tak na przykład w Stanach Zjednoczonych gdzie w roku 1900 jeden rencista (powyżej lat 65) przysługiwał na 25 osób pracujących, a w roku 1970 — jeden na dziesięciu, to za lat osiemnaście przysługiwać będzie 50 rencistów na sto osób zawodowo czynnych.

GDZIE TA BOMBA!

Jeszcze przed dziesięciu laty straszono świat rozszerzającą się eksplozją demograficzną. W różnych prognozach przewidywano że w roku 2000 planeta osiągnie 6,5—7 miliardów ludności, a do roku 2050 populacja zwiększy się trzykrotnie. Snuto w związku z tym ponure wizje: przepowiadano, że ziemia będzie się dławić wskutek nadmiernego zaludnienia i że szybko wyczerpie swe zasoby naturalne.

Od połowy ubiegłego dziesięciolecia przy każdej nowej prognozie demografowie od podstaw rewidują w dół swe szacunki wzrostu zaludnienia. O ile jeszcze kilka lat temu przyjmowano stopy wzrostu 1,75 proc. to już obecnie sądzi się że do końca stulecia tempo może spaść nawet do 1,5 proc. rocznie. Przy tym założeniu liczba mieszkańców planety może osiągnąć w 2000 roku 6,0—6,1 miliarda, a jeśli nadal będą utrzymywać się tendencje spadkowe, liczba ludności ma szansę ustabilizowania się na poziomie 10,5 miliarda w roku 2110. Prognozowanie w dziedzinie demografii, jak często zastrzegają eksperci, jest niezwykle trudne. Skutki trendów demograficznych ujawniają się bowiem w całej pełni dopiero po dziesięcioleciach czy setkach lat. Środki zaś jakie podejmujemy (lub nie podejmujemy) dla dokonania zmiany tych trendów odzyska dopiero następną generację. To one więc osłabiają korzyści lub zapłaca gorzka cenę za nasze obecne poczynania lub ich brak.

Zaskakuje w ostatnim czasie fakt, że dwie faworyzowane dotychczas teorie demograficzne: pierwsza — że płodność kobiet obniża się jedynie wtedy, gdy dany kraj osiąga wyższą

W demografii: od obaw do nadziei

HENRYK SROCYŃSKI

stopę życiową i druga — że stosowanie metod kontroli nad rozrodnością wymaga pewnego poziomu wyrafinowanej wiedzy, nie znajdują potwierdzenia w praktyce. Wybitny ekspert, Maurice Kendall stojący na czele badań pod nazwą World Fertility Survey (badania dotyczące płodności w świecie), twierdzi, że stało się coś, co nie może być w sposób racjonalny tłumaczone czynnikami rodzinnymi, społecznymi i ekonomicznymi — coś, co sprawia, że kobiety na całym świecie pragną mieć mniej dzieci. Kendall daje też do zrozumienia, że istoty ludzkie powodowane niezwykle głębokimi i najprawdopodobniej nieświadomymi motywami, wybrały taką „grę” natury, która uchroni ludzkość przed katastrofą.

Wielu też naukowców uważa, że tak jak we wszystkich procesach i systemach życiowych nie obserwowano wzrostu nieskończonego, tak i społeczeństwa osiągną swój stan nasycenia; każde społeczeństwo w innym okresie, podobnie jak rośliny osiągają kwitnienie w różnych porach. Zdaniem uczonych, niektóre społeczeństwa już osiągnęły „nasycenie”, inne nieuchronnie ustabilizują swą liczbę ludności w końcu tego wieku lub na początku wieku przyszłego.

CHIŃSKIE (I NIE TYLKO) JEDYNAKI

Wiadomo, że o tempie wzrostu zaludnienia naszej planety decyduje sytuacja demografi-

czna w największych państwach świata. Na wyraźnie obserwowane zahamowanie tempa przyrostu ludności składa się głównie niższa niż przewidywano stopa rozrodności w obszarze od Uralu po Minnesota oraz w Chinach, Indiach, Kolumbii, Indonezji, Malezji, Tajlandii itd. Niektórzy jednak demografowie dzielą światową populację na cztery grupy.

Grupę pierwszą stanowią kraje wysoko uprzemysłowane (ponad miliard ludności), które charakteryzują się najwyższym zahamowaniem tempa rozwoju ilościowego. Właściwie widoczne jest ustabilizowanie się ludności w Europie. Stary kontynent, który na początku bieżącego wieku obejmował prawie połowę ludności „świata cywilizowanego”, dziś jak się twierdzi, cierpi na bezpłodność. Szereg krajów, na przykład RFN, NRD, Austria, Luksemburg czy Belgia odnotowuje u siebie stałą lub nawet zmniejszającą się liczbę ludności. W Związku Radzieckim w końcu lat pięćdziesiątych współczynnik reprodukcji ludności wynosił 1,26 co oznacza, iż na każdy tysiąc osób w wieku rodzieliemskim przypadało około 1260 dzieci. Wskaźnik z końca lat siedemdziesiątych wynosił za ledwie 1040. Innymi słowy — przed dwoma dziesięcioleciemi w ZSRR utrzymywał się stereotyp rodziny średnio z dwojgiem, trojgiem dzieci, natomiast obecnie 80 proc. rodzin ma tylko jedno, dwoje dzieci. Rodziny małodzielnne są szczególnie powszechne w Federacji Rosyjskiej, republikach nadbałtyckich, na Ukrainie i w Białorusi. W innych republikach młodzież planuje znacznie mniej dzieci niż mieli ich rodzice.

Drugą grupę stanowią kraje rozwijające się (około 1,5 miliarda ludności), które wkroczyły w okres wyraźnego spadku przyrostu populacji. W tej grupie znajdują się Indie, Meksyk, Kolumbia i inne kraje, które szeroko upowszechniły środki antykoncepcyjne oraz prowadzą szeroką działalność w zakresie planowania rodziny. W państwach tych zliberalizowano ustawy o przerywaniu ciąży, a także upowszechnia się sterylizację. Na marginesie warto dodać, że o ile w 1971 roku tylko 38 proc. mieszkańców świata żyło w krajach, gdzie przerywanie ciąży było prawnie dozwolone, to dziś odsetek ten wynosi ponad 70 proc.

Trzecią grupę stanowią państwa pozostające w tradycyjnej sytuacji: przyrost jest tu nadal wysoki i głównie jemu świat będzie zawdzięczał swój przyszły wzrost demograficzny. W tej grupie (około 800 mln mieszkańców) znajduje się Afryka. Czarny kontynent, gdzie obserwuje się szybki spadek wskaźnika śmiertelności niemowląt, wysunął się w ostatnich latach na pierwsze miejsce w przyroście demograficznym ludności (poprzednio pierwszą lokatę zajmowała Ameryka Łacińska). Szybki wzrost zaludnienia Afryki świadczy o niepowodzeniach w propagowanej tam kontroli urodzeń. Ludność afrykańska odnosi się z dużą nieufnością do programów w tej dziedzinie. Wiąże się to z tradycją, według której wielka liczba dzieci przynosi wielki zaszczyt. Posiadanie kilku żon i znacznej gromady dzieci nadal jest w wielu krajach nie tylko symbolem bogactwa, ale wynika także z potrzeb społecznych i z podziału pracy. Chłopcy udzielają pomocy w gospodarstwie, które z reguły wymaga prymitywnej pracy, a dziewczęta są źródłem dochodu, gdyż narzeczony musi za nie płacić.

Ostatnią grupę stanowi ludność Chin. W ciągu minionych 30 lat przyszło na świat ponad 600 milionów Chińczyków, którzy całkowicie pochłonęli rezultaty wzrostu gospodarczego w tym okresie. Od wielu lat rozwija się w Chinach szeroko zakrojona kampania ograniczania liczby urodzin dzieci; w ostatnim czasie wprowadzono szereg przywilejów (korzyści materialne) dla rodzin posiadających jedno dziecko, a z drugiej strony — praktykuje się antyrodzice dla tych rodzin, które decydują się na większą liczbę dzieci. Obecnie propaguje się w Chinach podpisywanie przez małżeństwa zobowiązań, że nie będą miały więcej dzieci niż jedno. Jak we wrześniu br. podał dziennik „Zenmin Zypao” już 15 milionów par małżeńskich złożyło swe podpisy pod takimi zobowiązaniami. Rząd chiński nieustannie podkreśla, że kwestia ograniczenia przyrostu demograficznego jest pierwszoplanową sprawą społeczną, gdyż od jej rozwiązania zależy postęp gospodarczy kraju.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ!

Szybkie tempo przyrostu ludności niemal od dwustu lat wywoływało nastroje obaw. Jeszcze niedawno wybitny uczony L. Lader ostrzegał, że „świat przeludniowy i głodny stanie się światem strachu, chaosu, nędzy, zamieszek, zbrodni i wojny, że żaden kraj nie będzie wtedy bezpieczny”. Dziś już wiadomo, że ani ta przestroga, ani teoria Malthusa, która głosiła że liczba ludności musi przewyższać podaż żywności, wcale nie znajdują potwierdzenia w praktyce. Przeciwnie — wszystko wskazuje, że istnieją poważne szanse na ustabilizowanie ludności świata i że możliwa jest w przyszłości nawet recesja demograficzna.

Zdumiewają w tym wszystkim uświadomione i nieświadomione motywy hamowania przez człowieka i naturę rozwoju populacji. Trudno bowiem wyobrazić sobie skutki dalszego, szybkiego przyrostu mieszkańców planety, jeśli już dziś przytacza ją ciężar nie rozwiązanych problemów gospodarczych i społecznych. Ale nie można również popadać w optymizm. Tych 6 miliardów, które jednak osiągnie nasz glob w roku 2000, mogą wobec rysujących się coraz poważniejszych trudności gospodarczych, nastęrczać dość kłopotów i obaw, skalę i skutki których ze względu na coraz bardziej burzliwy charakter przemian w krajach rozwijających się, nie sposób dziś przewidzieć.

